MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 12 WARSZAWA, 21 MARCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

ODRODZENIE

NA MARGINESIE „DZIEJÓW POLSKI" PROF. KONOPCZYŃSKIEGO [1])

ZWYKLE z tem słowem inną epokę historyczną kojarzymy, więc muszę zaznaczyć, że nie o włoskim renesansie będzie tu mowa, ale o tem innem odrodzeniu, które przeżyła nasza ojczyzna pod koniec XVIII wieku, w dobie swego politycznego upadku pod rządami ostatniego już z królów. Czasy te u nas, najbardziej słusznie — jak to z naciskiem podkreśla prof. Konopczyński — stanisławowskiemi zwane — zakończyły jeden okres istnienia Polski, a rozpoczęły drugi. Studja nad niemi też dlatego tak pasjonujące, bo w nich prawdziwa „geneologia teraźniejszości" i najlepszy klucz do zrozumienia nowego dzisiaj. Jeśli o naszym charakterze narodowym najwięcej nam mogą powiedzieć barok i czasy saskie — to o naszej strukturze socjalnej — te właśnie stanisławowskie, rozpoczynające Polskę nową — Polskę niewoli i zmartwychstania. Dziś atoli zaczyna się Polska najnowsza, owa Wielka i narodowa i nasze pokolenie w analogicznej jest sytuacji, jak tamto z sejmu czteroletniego i insurekcji.

Jest bowiem dziś ta sama co wtedy sytuacja, że prąd odrodzeńczy wypracowywać musi swoją własną ideologię, swój własny, tak paląco potrzebny, program naprawy — w równoczesnej ostrej i ciężkiej walce z wszystkiemi temi mocami, co usiłują zorganizować bezwład narodu i celowo niszczą jego zdrowie. Gdy w wieku XVIII-tym wrogiem była cała zgrupowana około palladiów wolności nieruchowość, nieraz nawet wcale sympatyczna i cnotliwa (Barzanie) — to dziś tym wrogiem jest inna, też zresztą około „wolności" się grupująca ideologia. I tak jak wtedy zacietrzewieni obrońcy *liberum veto*, w gruncie rzeczy bronili niewoli i swoistej, absurdalnej tyranii — tak samo dziś owi wszyscy rozkrzyczani liberali najbardziej niewolnicze państwo by chcieli stworzyć. I tak jak wtedy wreszcie Konarski pracę swą polityczną rozpoczął od wychowania — taksamo dziś Dmowski pierwszą swą książkę poświęcił — uformowaniu nowoczesnego Polaka. W całej tej analogii, tak we wszystkich punktach zgodnej tylko ta walna różnica, że wtedy rząd był w rękach nowatorów, gdy dziś my wciąż jeszcze na własne tylko siły skazani.

Więc tu nad nami ogromna przewaga wieku osiemnastego, który miał Stanisława Augusta i miał władzę narodową, co o dobro narodu i jego kultury rzetelnie dbała. To zasługa dworu łazienkowskiego niewątpliwa i dobrze się stało, że prof. Konopczyński przeszedł do porządku dziennego nad przeróżnemi katońskiemi sądami i oddał ostatniemu z królów sprawiedliwość. I mimo tak jawnie stronniczej i wbrew wszelkim pozorom (obfite cytaty) arcynienaukowej i niepoważnej (dużoby o tem mówić, jak preparowane te odnośniki, jak bezkrytycznie brane źródła i z jakim ferworem wypowiadane na wiatr różne stwierdzenia) pracy Świętochowskiego — usiłującej owego króla i cały jego wiek, jak się to mówi popularnie, do cna obazgrać, — mam wrażenie, że odmierzony, rozważny sąd Konopczyńskiego nie ulegnie już żadnym zmianom, przynajmniej na gorsze, bo co do innych to chyba one bardzo jeszcze możliwe.

Sprawiedliwość bowiem każe przyznać, że ostatni nasz król był, mimo cały fatalny wynik swego panowania, — królem z prawdziwego zdarzenia, królem conajmniej na wysokości zadania. Trudno wymagać od monarchy elekcyjnego i to w dodatku człowieka o nie głośnem nazwisku, bynajmniej nie najpierwszego z magnatów, tej determinacji i tej ręki, jaką wykazał w swoim zamachu Gustaw III. Stanisław August nie mógł się nigdy ważyć na coś podobnego, bo nie był ani dziedzicz-

[1]) Porównaj artykuły: „Złoty wiek" nr. 4 i „Na polu chwały" nr. 6 z r. b. „Myśli Narodowej".

nym, ani (przynajmuiej w samym początku) narodowym królem. Nie mógł też się równać z żadnym Fryderykiem czy Józefem. Wyniesiony przez Rosję, popierany przez fakcję — tron jednak istotnie tylko sobie zawdzięczał i z pożytkiem dla Polski na nim przez lat trzydzieści siedział. Światłą opinię kraju sobie zjednał i ugiął warcholskie, szlacheckie głowy. Upadł w końcu i powie ktoś: — niesłusznie, ale po katastrofie targowickiej nie było już dla króla wyjścia. Mógł wprawdzie popełnić samobójstwo i to byłby protest, ale na to trzebaby i wielkiej siły i wielkiej wiary, a tych w każdym razie już w Grodnie nie posiadał.

Jakby nie było, postać króla Stasia rysuje się jednak w galerii naszych królów wyjątkowo. Jest on niewątpliwie jednym z najwybitniejszych monarchów, jakich Polska znała, czynny na wszystkich polach kultury narodowej, czynny był też wszędzie, gdzie tego dobro kraju wymagało. Związał swe imię nie tylko z odrodzeniem literatury i nauk, ale z gospodarką, z prawem i nawet wojskiem. Pełen wad fatalnych, z których wiele można zwalić na karb tak rozkosznie grzesznego stulecia, a z wielu rozgrzeszyć tragedią osobistą przeżytą w Petersburgu — potrafił jednak narodowi oddać cały zasób swych wyjątkowych wprost zalet. Barbarzyńską Polskę golonych łbów sarmackich wprowadził znowu do Europy i ciągnął dalej, choć w tak trudnych warunkach — wielkie dzieło Konarskiego i dał narodowi nowe życie.

I ubliża, mojem zdaniem, nam dzisiaj, że zwłoki tego króla, który tak wszechstronnie zaznaczył się w naszych dziejach, wciąż leżą jak dawniej, na zagranicznem wygnaniu. Nawet gdyby surowo, najsurowiej, sądzić jego dzieło i poczynania, nawet gdyby niesprawiedliwie nie widzieć w nim tej wielkiej miłości ojczyzny i tej ciągłej troski o nią — to majestatowi ostatniego naszego króla, należy się, by leżał u nas — między królami. Majestat Polski wymaga tego, by ten, kto ostatni nosił jej Koronę i ujął Szczerbiec w swoje dłonie — nie był poza nawiasem Panteonu. A cóż dopiero, gdy ma do tego i moralne prawo i gdy raczej jest tragiczną, jak naprawdę winną postacią.

I gdy się czyta dzieje tego smutnego, choć równocześnie i radośnie krzepiącego okresu — widzi się, ile w stanowisku króla było rozumu politycznego i słusznej rezerwy. A mimo to, — że król przegrał, że naród uniesiony zapałem wybrał zgubne drogi, wiodące do wojny z Rosją i rozbiorów — to takie jednak naturalne. Działała tu wprawdzie ponoć i obca, zbrodnicza ręka, ale niewątpliwie kryła się w tem i pewna nieubłagana logika życia. Rozbudzonym ambicjom narodowym nie wystarczała już szara organiczność pracy, chciano odrazu mieć wszystko i wierzono najmocniej, że siły na to też się znajdą, że chcieć to móc. Stara, bardzo stara historia i wieczna jak ludzkie zmagania. Przykładów dawać możnaby tysiące. I na Węgrzech w kilkadziesiąt lat później Széchenyi musiał ustąpić Kossuthowi.

Ale testament królewski jasny i żywy i on właśnie jest nauką dziejową owego okresu: — że dróg poprawy należy zawsze szukać w człowieku, że gdy on będzie lepszy i instytucje się zaraz wyprostują, że zawsze szukać trzeba organicznej drogi życia, a nie gonić za szybkiemi efektami mechanicznej reformy. Stanisław August w to właśnie wierzył i całe życie budował Polskę w ten właśnie sposób — od ludzi, od drobnostek. I była to, jak okazała później jego klęska, sejm czteroletni, insurekcje, legjony—jedyna właściwa droga odrodzenia i ratunku.

Odrodzony przez niego, w atmosferze jego panowania — Polak nie uratował wprawdzie państwa, bo mu nato przemoc nie pozwoliła, ale uratował naród i przetrzymał niewolę. Dziś nowy, ma odzyskane państwo zrobić naprawdę polskiem i wielkiem. A droga do tego taka jak wtedy — przez człowieka, żeby on był naprawdę lepszy i nowy. Trzeba więc naprawdę narodowego wychowania. Jest to lekcja czasów Stanisławowskich, czasów Konarskiego i Komisji Edukacyjnej. Trzeba szukać człowieka, nie tego wielkiego, co za nas wszystkich będzie ciężar dźwigał, ale tego zwykłego, który zawsze spełnić potrafi swój obowiązek, a który się składa na naród. Polsce potrzeba l u d z i.

KAROL STEFAN FRYCZ

UNIWERSALIZM HABSBURGÓW

1

KATOLICYZM i UNIWERSALIZM były temi dwoma głównemi, znamiennemi rysami, temi dwoma sprawczemi czynnikami, które wysunęły Niemcy średniowieczne na czoło ówczesnej Europy i pozwoliły im zdzierżyć przodownictwo nad tą częścią świata. Prowadząc w dalszym ciągu linię katolickiego uniwersalizmu, trzeba zauważyć, iż harmonijny zespół tych dwóch cech charakterystycznych w zdumiewający i uderzający sposób ziścili w dziejach Habsburgowie — ród, którego panowanie zapisało się naogół chwalebnie na kartach historji.

Przecież ludy a właściwiej państwa wtedy już reprezentowały wyłącznie domy panujące. One tworzyły historię w cieniu katolickiej etyki, która w rycerzu chrześcijańskim stworzyła nakształt żyjącej rzeczywistości, prawie niedościgły ideał męski wszystkich czasów. Pierwowzór ideału rycerskiego znajdował się już dawno w starogermańskich pojęciach o honorze, jak wiemy o tem dobrze z Tacyta, który mówi; „*Principes pro victoria pugnant, comites pro principibus*". Frankońscy i (od Konrada I) niemieccy królowie reprezentują tę centralną siłę germańską, którą od Bożego Narodzenia 800 roku Kościół rozprzestrzeniał za pośrednictwem Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ogłoszenie cesarzem rzymskim Karola Wielkiego było pierwszem ziszczeniem się renesansu. Ten prąd duchowy zapoczątkował również Kościół, a w ten sposób o trzysta lat uprzedził humanizm. Mianowicie papież, Leon III, wytknął sobie rzeczywiście jako zadanie restaurację Cesarstwa Zachodnio-Rzymskiego na podwalinach germańskich w celu obrony Kościoła. A nowi imperatorzy również widzieli w papieżu przedewszystkiem tego inicjatora wskrzeszenia Zachodnio - Rzymskiego Cesar-

stwa, gdyż od Czasów Karola Wielkiego uważają za rzecz niezmiernej wagi uznanie siebie przez cesarzy wschodnio - rzymskich.

Stąd również pochodzi nowe godło narodowe. Orzeł cerarski jest właściwie niczem innem, jak tylko ptakiem Jowisza. Panującym z dynastji saskiej poczęto od imienia Caesar dawać miano: Kaiser. Po matce swej, Theophanu, księżniczce wschodnio - rzymskiej, Otton III rościł już sobie pretensje również do Cesarstwa Wshodnio - Rzymsiego. W ten sposób orzeł cesarski otrzymał drugą głowę. Dwugłowy orzeł cesarski oznacza tedy całe Imperium Romanum. Króla niemieckiego podnoszono po wyborze na tarczy co oznaczało jego na tron wstąpienie. Do tego uroczystego aktu używano tarczy ze złota. By zaś rażąco uzmysłowić, że wybrany król niemiecki oczekuje zarazem na godność rzymskiego cesarza, w tym celu umyślnie na czarno malowano na złotej tarczy cesarskiego orła rzymskiego. W ten sposób kolory czarny i żółty stały się barwami Cesarstwa Rzymskiego, co można już wykazać od czasów Fryderyka I Rudobrodego (1152).

Restauracja cesarstwa rzymskiego była renesansową myślą Kościoła, którą we wczesnym średniowieczu ziszczali królowie niemieccy w oparciu o centralne siły niemieckie. Gdy jednak królowie niemieccy, ulegając coraz bardziej czarownemu urokowi samolubnych idei cesarskich, oddalali się coraz bardziej od niemieckiej rzeczywistości i od religijnej podstawy zwierzchności cesarskiej (co wszystko osiągnęło punkt szczytowy w osobie Fryderyka II. 1215—1250) równocześnie tworzył się nowy, niemiecki partykularyzm, tym razem na terytorialnej podstawie, miast — jak ongiś — plemiennej.

Katastrofalny upadek „wielkiego bezkrólewia" (1250—1273) przywraca w Niemczech znaczenie dawnym wielkim tradycjom. Silny, narodowy poryw ducha poprzedza wybór królewski, z którego wychodzi zwycięsko Rudolf Habsburg. Wraz z nim na tronie niemieckim zasiadła najmożniejsza i najzdolniejsza dynastia niemieckiego, południowego Zachodu i zarazem najświetniejsza i najprawdziwsza reprezentantka ówczesnego, niemieckiego typu. Rodzina Rudolfa uzyskuje niebawem koronę rzymską, koronę cesarską, która — pomijając krótsze przerwy — zdobiła jej skronie urzędowo do 1806 roku w rzeczywistości zaś aż do końca wojny światowej.

II

Założyciel dynastji, król Rudolf (1273—1291) stanął całkowicie na wysokości zadania w każdej dziedzinie swego powołania i nie zależało od niego, że już nie zdołał naprawić niemieckich win Staufów, że nie udało mu się jednolitych Niemiec nakształt dziedzicznego królestwa uczynić na nowo potężnem źródłem Cesarstwa. To też rozkład Cesarstwa, który był nieuchronny, można już było na pewien czas tylko zahamować. Przez pięćset lat czynili to z honorem Habsburgowie, opierając się wyłącznie na własnych siłach.

Jako niemieckiemu królowi starać się o Cesarstwo i jako świadomemu, narodowemu królowi kroczyć na czele chrześcijańskiego Zachodu, było to już wtedy rzeczą niemożliwą. Nie pozostawało nic innego, jak czemś odmiennem zastąpić czysto niemieckie narodowe źródło siły i założyć na nim podwalinę idei ponadnarodowego Cesarstwa. W duchu Ottonów, ale już w sensie teorji Inocentego III o dwóch mieczach pragnął Rudolf wskrzesić na nowo *„sacrum imperium"*. Niby krwawa nić ciągnie się to usiłowanie poprzez całą historię Habsburgów. Każdy z nich aż po nasze dni starał się o to z bezprzykładną wytrwałością i wiernością. Rudolf I za pośrednictwem uzyskanej po bitwie nad rzeką Morawą (1278) spuścizny po Babenbergach powiększył rodzinny stan posiadania, który już za jego syna, Albrechta I (1298—1308) oznaczał spoisty kompleks władczy wraz z Alzacją, Szwajcarią i krajami austriackimi. Politykę Rudolfa I prowadzono szczęśliwie dalej, tak, że już od drugiej połowy XV wieku Habsburgowie — na podstawie władzy rozciągającej się nad czysto rodowemi posiadłościami — byli wielką, europejską potęgą. Ten ich stan posiadania tworzy od tej chwili źródło siły Cesarstwa, w którem rozmaitość poddanych podkreślała jeszcze bardziej ponadnarodowość świętego cesarstwa.

Tak tedy Kościół już we wczesnem średniowieczu wznowił Cesarstwo Zachodnio - Rzymskie w znaczeniu ponadnarodowego, rodzinnego związku chrześcijańskich ludów i przekazał je królom niemieckim, jako najbardziej wówczas do tej misji powołanym. To wytyczone przez Kościół i zgoła średniowieczne zadanie podejmują w XIII stuleciu Habsburgowie. I oni też je urzeczywistniali i pozostawali w jego służbie nieomal aż po nasze dni, często pomimo niepokonalnych trudności.

III

Tragedią narodu niemieckiego stał się rozłam religijny, ponieważ w duchowo jednolitym narodzie niemieckim wywołał kulturalny i duchowy rozdźwięk, dzieląc ten naród na dwa obozy wyznające skrajnie przeciwny pogląd na świat. Oczywiste to psychologiczne zjawisko, że pokrewieństwo nie tylko nie wyrównuje istniejących przeciwieństw, ale jeszcze je bardziej pogłębia. To też sens i znaczenie dynastji oraz całego Świętego Cesarstwa — wszystko to od tej chwili staje się zasadniczo obce dla większości Niemców. Dziejopisarstwo narodowe od czasów Drugiej Rzeszy Bismarcka przez przeszłość niemiecką rozumie protenstancki, prusko - centryczny ruch Hohenzollernów, który przez okrągłe 300 lat oplatał Cesarstwo gęstą siecią misternej intrygi, zawierał przymierza z każdym jego wrogiem i nie cofał się przed użyciem żadnego środka tak długo, aż wreszcie nie osiągnął celu: nie obalił Pierwszej Rzeszy, katolickiego, niemiecko - rzymskiego Cesarstwa.

W całej Europie powstają i umacniają się państwa narodowe, a ich władcy nie zaniedbują tego narodowego momentu wprzęgnąć pomyślnie w służbę rodowych interesów. Od Tudorów i Bourbonów aż do czarnogórskiego królika ostatnich czasów każdy panujący dążył do tego, by w najskuteczniejszej i najłatwiejszej pozie, zatem w narodowej pozie przypodobać się poddanym i, wieńcząc swe czoło narodowym laurem, stać się popularnym, często bez żadnej przyczyny osobistej. Nie było to danem Habsburgom. Rozmaitość koron, oraz religijne, językowe i kulturalne różnice zachodzące pomiędzy ich poddanymi, wszystko to uniemożliwiało od czasów Maksymiliana I (1486) by którykolwiek z członków dynastii stał się popularnym, by reprezentując jedną narodową ideę—

zdołał porwać za sobą masy! A przecież wielu z nich miało dużo po temu danych, naprzykład Rudolf I, który odznaczał się niepospolitemi, osobistemi zaletami, lub syn jego Albrecht I, dalej Ferdynandowie, albo sam Maksymilian I, ostatni rycerz, albo Karol V, który należy do jednych z największych władców historii, lub Józefowie, albo najznakomitsza stanowczo władczyni w dziejach, wzorowa matka i przykładna żona — Maria Teresa, czy wreszcie panujący tej miary jak Franciszek Józef I!

Naprzeciw nich stoi zaledwie kilku małowartościowych: zupełnie nieudolny Rudolf II, moralnie niski Leopold II, umysłowo chory Ferdynand V, religijnie chwiejny Maksymilian II. Resztę znamionuje purytański charakter, reszta wiedzie przykładne, rodzinne życie, reszta stara się szczerze i po męsku czynić zadość obowiązkom władczym. Pragną dokonać tego, co na ich miejscu zrobiłby każdy prawdziwy człowiek i co też na ich miejscu uczyniłby z całą pewnością którykolwiek—jako narodowy władca czczony—monarcha, gdyby się urodził na tym historycznie najdostojniejszym, ale właśnie dla tego najtrudniejszym pod względem sprawowania władzy—tronie. Habsburgowie naturalnie nie mogli mieć swych ambicyj. I jakież ambicje mieć mógłby ten, kto jako władca był uznany powszechnie za pierwszego gentlemana świata.

Do Napoleona I każdy odgrywający w koncercie europejskim jakąś rolę władca jawnie czy skrycie, ale samo przez się zrozumiale dążył do tego, by czoło swe ozdobić diademem cesarskim. Dla samych tedy cesarzy pozostało tylko pełnienie szarych obowiązków. O osobach większości Habsburgów nawet najsurowiej przeprowadzone śledztwo wystawiłoby w ostatecznym wyniku tylko dobre, moralne świadectwo, a jednak żaden z nich ani był popularnym, ani wymarzonym, ani idealnym władcą. Za pełnienie szarych obowiązków nie wznosi się zazwyczaj pomników, czego zaś innego Habsburgowie nie mogli dokonać, nie mieli innej możności wybicia się na jakiemś polu. Natomiast ciągle na drodze ich życia piętrzyły się zadania, których zupełnie pomyślne rozwiązanie było zgoła faktycznem niepodobieństwem już to z braku materialnych środków lub innych warunków, już to wskutek światopoglądowych, zasadniczych przyczyn, ale prawie zawsze bez ich osobistej winy.

Nie mogli również pozwolić sobie na ten luksus, by stać się ujmującemi osobistościami, w czem tak celowali ich wrogowie, którzy posuwali się niemal do szaleństwa w tej dziedzinie i nie zaniedbywali żadnej sposobności, by pociągnąć ku sobie urokiem własnej postaci. Jakkolwiek człowiek wybacza chętnie słabostki *„semper humanum"*, to jednak *„majestas"* może być wprawdzie wzniosła i przejmująca, lecz nigdy nie zdobędzie miłości, nie wzbudzi entuzjazmu, co wszystko dla zdobycia znaczenia jest równie konieczne, jak wiośnie promień słoneczny.

IV

Wziąwszy pod uwagę wyniki panowania Habsburgów, stwierdzić trzeba, że dynastia osiągnęła swój punkt szczytowy w czasach Lutra, za rządów Karola V. Pierwszą potęgą na świecie była już wtenczas, gdy większość dzisiejszych pierwszo czy drugo-rzędnych mocarstw przeżywała jeszcze zaledwie okres swej państwo-twórczej młodości.

Zadanie Habsburgów na tronie było najtrudniejsze: z jednej strony strzeżenie idej katolickiego średniowiecza i jego idealnych wartości, z drugiej zaś strony obrona przeciw humanizmowi i jego poronieniu: religijno-światopoglądowemu (protestantyzm) i rasowemu (nacjonalizm) egoizmowi. Agresywnym, zgóry zastrzeżonym warunkiem tego obronnego zadania była: nowożytna władza państwowa. Postępujący bowiem wciąż naprzód rozwój kultury domagał się coraz bardziej silnego, o stałych tendencjach i centralnego rządu. Tylko zaś świadomość celu może gwarantować pomyślnie rozwój kultury. Te wymogi kultury w ostatecznym wyniku wykopały w Europie grób pod stanowym ustrojem średniowiecza. Właściwie bowiem to przekonanie stało się dniem narodzin czasów nowożytnych a nie daty odkrycia Ameryki lub upadku Konstantynopola. Przecież Amerykę odkrył *„Mayflower"*, Konstantynopol zaś upadł już wtedy, gdy nastąpił rozłam w łonie Kościoła. *„Signum temporis"* poznali najpierw bezsprzecznie Francuzi, którzy też umieli się doń już dawno i korzystnie zastosować. Francuzi również dali światu w osobie Filipa IV Pięknego (1285—1314) pierwszego, nowoczesnego, absolutystycznego władcę (pominąwszy włoskich despotów z epoki Renesansu) gdyż absolutyzmu domagał się rozwój kultury. Co do tej kwestii mogą być naturalnie różne opinie. Faktem jest wszakże, iż bez absolutystycznej przeszłości Europy niepodobna prawie sobie wyobrazić dzisiejszej europejskiej kultury.

Że ustrój stanowy będzie się starał utrzymać swą władzę, że będzie próbował w opinii publicznej utożamić się z narodem (jakkolwiek dzisiejsze pojęcie „naród" było w Europie anachronizmem przed Wielką Rewolucją), że uznanie swych przywilejów będzie kwalifikował jako „konstytucję", wszystko to jest samo przez się zrozumiałe, w rzeczywistości jednak udało się to tylko w Polsce i na Węgrzech osiągnąć.

V

Nowa recepta panowania była już zatem wynaleziona. Przyjęciem jej i zastosowaniem Habsburgowie uczynili więc tylko to, co na ich miejscu zrobiłby również jakikolwiek władca historii. Nowa metoda rządzenia nie zmieniła jednak zupełnie prowadzenia w dalszym ciągu katolickiej i uniwersalnej linii politycznej, tak, jak nie zmieniło jej uzyskanie koron: węgierskiej i czeskiej. Korony te zresztą przedstawiały tylko terytorialną wartość, węgierska zaś znaczyła wtedy jeszcze mniej aniżeli dzisiaj. Przecież ówczesny, europejski stan posiadania dwóch gałęzi dynastii zawierał w sobie dzisiejszą Holandię, Belgię, Hiszpanię, trzy czwarte Włoch, Niemcy, dawną Monarchię z wyjątkiem Galicji i Bukowiny. Lecz i bez względu na to do tego stopnia byli przekonani o posłannictwie imperium swojej dynastii nad chrześcijańskim Zachodem, że z tragiczną determinacją nie mogli sobie nawet wyobrazić konfliktu w łonie własnych obowiązków! Swój władczy zakres działania wykonywali zawsze na podstawie patrymonialnej.

Myśl centralna była katolickiem zadaniem

cesarskiego domu. Wojna trzydziestoletnia dla nich i tylko dla nich była jeszcze wojną religijną. Dom cesarski, *Casa d'Austria* jednoczył w sobie zawszo obydwie gałęzie. Słowo: Austria jest tu użyte nie w terytorialnem, niema tedy nic wspólnego z geograficzną Austrią, lecz tylko w imperialnem znaczeniu, rozumiano przez nie dynastię jako taką już od czasów pierwszych Habsburgów. Małżonki królów francuskich Ludwika XIII i XIV były naprzykład infantkami hiszpańskiemi, jednakże w historii francuskiej występują pod imieniem: Anne d'Autriche i Marie Therese d'Autriche. Ostatnie ujawnienie tego zapatrywania nastąpiło w r. 1806, kiedy cesarz, Franciszek II, zmuszony wprawdzie zrzec się niemiecko-rzymskiego tronu, zatrzymał jednak diadem i inne w jego posiadaniu znajdujące się insygnia imperium (tych Napoleon nigdy nie żądał dla siebie) i własny dom, *domus Austriae*, zgoła niezależnie od władczych terytoriów ogłosił dziedzicznie cesarskim. Za ostatni przebłysk „*sacrum imperium*" trzeba jednak uważać *veto* Franciszka Józefa, postawione w okazji konklawe poprzedzającego wybór Piusa X. Wtedy jeszcze przyjęto wprawdzie to *veto*, a Pius X dopiero po swej koronacji ogłosił wygasłym ten rzymsko-cesarski przywilej.

Wojnę trzydziestoletnią Habsburgowie, nie wskutek swej winy, przegrali w Niemczech, ale zyskali na niej w swych posiadłościach dziedzicznych, ponieważ udało się im z tych włości, nad któremi sprawowali władzę absolutną, stworzyć jednolite, zwarte mocarstwo. Prawnie tylko najmniejsza jednostka, królestwo węgierskie, zachowało swoją odrębność. Rozpoczynające się wówczas stulecie stało się świadkiem chwalebnego, katolicko-uniwersalnego, wielkiego czynu Habsburgów: gigantycznej walki i zwycięstwa nad Turkami. Wspaniałość tego triumfu wzmaga jeszcze ta okoliczność, że długą tę wojnę trzeba było prowadzić odrazu na dwuch frontach: na Węgrzech przeciw Turkom a nad Renem przeciw Francuzom. Dlatego i tylko dlatego nie można było naprzykład wyzyskać zwycięstwa odniesionego pod Szent Gotthard, gdzie właściwie nie Turek, lecz jego sojusznik—król francuski poniósł klęskę.

VI

Ten i wogóle przyszły okres rozgrywa się pod znakiem katolickiego odrodzenia na wszystkich władczych terytoriach dynastii. Znamieniem kultury tego wieku jest dziecinnie figlarny, a tak serdeczny barok. Ośrodkiem tej kultury — Wiedeń, gdzie obok pierwotnie niemieckiego poczyna coraz bardziej cesarski uniwersalizm występować. Ówczesna Europa znała tylko dwie metropolie: francuski Paryż i niemiecki Wiedeń. W tej kulturze baroku wyraża się po raz ostatni i w idealnej doskonałości katolicki uniwersalizm dynastii, która wtedy jeszcze harmonijnie w jedność duchową związała przeważną większość swych terytoriów i rozmaitych poddanych.

ZBIGNIEW ZAŁĘSKI

CHESTERTON O POLSCE

UKAZAŁA się świeżo w wydaniu książkowym ostatnia skończona praca G. K. Chestertona: Autobiografia (G. K. Chesterton: *An Autobiography* — London. 1936, Hutchinson. str. 343), która w ciągu zaledwie paru miesięcy osiągnęła cztery wydania. Nie zalicza się ona do najlepszych dzieł autora „Magii" i wielkiego katolika, który zbyt był zawsze pochłonięty podziwianiem świata i otaczających go cudownych przejawów cudu stworzenia, aby mieć czas na autoanalizę. Wyrażając jeszcze raz wiele poglądów, które już nieraz formułował, przeplata je anegdotami i drobnemi wspominkani swego życia. Korzystając z możności pisania o rzeczach bardziej osobistych, wystawia pomnik przyjacielowi swemu Hilaremu Bellocowi i bratu, Cecilowi, jako bojownikowi o czystość stosunków politycznych w Anglii. Obszernie traktuje „aferę Marconiego", słynną panamę łapowniczą, do której odkrycia przyczynił się walnie redagowany przez Cecila Chestertona "*The Eye-Witness*" (później „*The New-Witness*"). W sprawie tej głównie skompromitowani zostali żydzi, bracia Isaacsowie, z których jeden, Godefroy był naczelnym dyrektorem *The Marconi Company*, a Rufus, wówczas baronet, pełnił wysoki urząd państwowy Prezesa Prokuratorii Generalnej (*The Attorney General*). Mimo całkowitej kompromitacji braci Isaacsów, kariera Rufusa nie została przerwana, mianowany lordem Reading otrzymał później jedną z najwyższych i najbardziej odpowiedzialnych godności — wicekróla Indii.

Poza tym autobiografia, która wogóle nosi charakter mocno fragmentaryczny, zawiera szereg interesujących uwag o wybitnych współczesnych, jak ich widział autor, a więc z polityki o królu Jerzym V, o lordzie Curzonie o lordzie Hughu Cecilu, o lordzie Balfourze, o Cunninghamie Grahamie, a z literatury o Hardym, Meredith'ie, Barriem, Walterze de la Mare i Alice Meynell. Bellocowi poświęca cały rozdział, jako najbliższemu przyjacielowi i współpracownikowi tak nierozłączonemu, że Shaw traktował obu jako jeden dziwny twór, który nazywał Chesterbelloc.

Najciekawszy jednak dla nas jest rozdział, w którym Chesterton opisuje swe podróże: krótko palestyńską, której poświęcił osobną książkę; dłużej zaś drugą podróż do Ameryki, wycieczkę do Hiszpanii; kończy wspomnieniami z wizyty w Polsce — „pierwszej, jak pisze, ale ma nadzieję nie ostatniej". Niestety, jak wiadomo, śmierć pisarza zniweczyła wszystkie projekty i nadzieje długich jeszcze lat działalności, które kilkakrotnie w swej autobiografji wyraża.

Wspominając o Francji i o Irlandii, jako tych dwóch najbliższych sąsiadach, których Anglia nigdy nie może zrozumieć, pisze następnie:

„Jest jednak jeszcze jeden naród, podobny nieco do Irlandi w jej tragedii i triumfie i notatką o nim zakończę ten rozdział. Może kiedyś porwę się na pełniejsze studium. Tu przypomnę tylko parę rzeczy; nie te, które zdołałem zapamiętać, ale te których nie mogę zapomnieć.

Zwiedzając Polskę byłem zaszczycony zaproszeniem jej rządu; ale gościnność, z jaką się spotkałem w kraju była o wiele zbyt żywa, aby mi przypominać o czymkolwiek oficjalnym".

(Ci, którzy pamiętają szczegóły wizyty Chestertona, w Polsce, odczują może lekką nutę ironii w tej uwadze. Wielki pisarz katolicki otrzymał zaproszenie do p. Prezydenta R. P. i przybył z żoną, aby się ze zdziwieniem przekonać, że etykieta pozwala tylko na przyjęcie jego samego. Pani Chesterton musiała czekać w przedpokojach na zakończenie wizyty, a później na bankiecie małżonek jej żartował na temat rzekomych obaw o to, aby się nie okazała anarchistką z bombą ukrytą w fałdach sukni. Dlatego o oficjalnych recepcjach wolał nie wspominać).

Jest w Warszawie rodzaj podziemnej tawerny, gdzie pije się tokaj, który byłby zdolny wyleczyć każdą oficjalną figurę z oficjalnej postawy; tam śpiewano polskie piosenki żołnierskie. Kraków jest teraz jeszcze więcej miastem narodowym, ponieważ nie jest stolicą; a jego tajemnice lepiej przeniknęli ludzie tacy jak profesor Roman Dyboski, niż ktokolwiek zamieszany w urzędowe sprawy, Widziałem jednak nieco z tej trudnej polityki, dosyć, aby wiedzieć jakie nonsensy mówi się o niej w gazetach zajmujących się tym, co one nazywają Korytarzem Polskim, Najsprawiedliwszym uogólnieniem będzie chyba to: ostatnie wypadki (Chesterton był w Polsce w roku 1929) lepiej byłyby rozumiane, gdyby każdy widział fakt oczywisty, że Polacy zawsze muszą wybierać z dwojga złego. Poznałem wielkiego Piłsudskiego; i ten wspaniały i dość ponury stary żołnierz szczęścia (*soldier of fortune)* powiedział mi mniejwięcej, że z d w o j g a z ł e g o wolał Niemcy od Rosji. Równie jasne jest to, że jego rywal Dmowski, który również przyjmował nas czarująco w swym wiejskim ustroniu, zdecydował, że z d w o j g a z ł e g o wolał Rosję niż Niemcy. Poznałem tego interesującego człowieka już wcześniej; dr. Sarolea przyprowadził go do mego domu; tam Belg ze swą zwykłą złośliwością pokpiwał z antysemityzmu Polaka, mówiąc tonem perswazji: „ostatecznie pańska religia pochodzi od żydów". Na co Polak odparł: „Moja religia pochodzi od Jezusa Chrystusa, którego żydzi zamordowali". Piłsudski sympatyzował też bardzo z Litwą, chociaż Litwini i Polacy byli wówczas w kłótni. Był pełen entuzjazmu dla Wilna; ja zaś później znalazłem przy granicy historyczne miejsce, gdzie Polacy i Litwini jednakowo zaznają pokoju — nawet wtedy gdy są ze sobą w wojnie.

Jechałem z pewną Polką, bardzo dowcipną i dobrze znającą całą Europę, a także Anglię (co leży w barbarzyńskim zwyczaju Słowian); i zauważyłem tylko, że ton jej głosu się zmienił jakby ochłódł, gdy zatrzymaliśmy się przed łukiem, wiodącym w boczną ulicę, a ona powiedziała: „tędy nie możemy przejechać". Zdziwiłem się; brama bowiem była szeroka a ulica najwidoczniej otwarta. Gdyśmy przeszli pod łukiem rzekła do mnie tym samym bezbarwnym tonem: „Niech pan zdejmie kapelusz". A wtedy ujrzałem otwartą ulicę. Zapełniona była licznym tłumem ludzi, zwróconych ku mnie twarzą; wszyscy klęczeli na ziemi. Wyglądało to jakby ktoś szedł za mną; albo jakby jakiś dziwny ptak krążył nad moją głową. Obejrzałem się i zobaczyłem we środku łuku wielkie otwarte okna, odsłaniające komnatę pełną złota i barw; z tyłu był obraz; ale części tego obrazu poruszały się jak w teatrze marionetek, wzbudzając dziwne podwójne wspomnienia, jak sen o moście w teatrze marionetek mego dzieciństwa; (Chesterten opowiada w pierwszym rozdziale o tym teatrze, jako najmocniejszym i najcudowniejszym pierwszym wrażeniu swych lat dziecinnych. Po moście szedł człowiek ze złotym kluczem wiodącym do bram szczęścia, kluczem, który autor znalazł później w wierze katolickiej, jako klucz Piotrowy) i wtedy zdałem sobie sprawę, że z tych poruszających się grup jaśniała i rozbrzmiewała starożytna wspaniałość Mszy św.

Dodam jeszcze jedno wspomnienie. Poznałem pewnego młodego hrabiego, którego ogromny i kosztowny pałac na wsi zabudowany według starych wzorów (bo on sam miał zupełnie inne poglądy), został spalony, zniszczony i opuszczony w ruinach przez Armię Czerwoną w odwrocie po bitwie pod Warszawą. Patrząc na taką górę potrzaskanych marmurów i czarnych, zwęglonych dywanów ktoś z naszego towarzystwa rzekł: „to musi być dla pana straszna rzecz widzieć starą swoją siedzibę rodzinną w takim zniszczeniu. Ale młodzieniec, który w ruchach był jeszcze bardzo młody, wzruszył ramionami i zaśmiał się: jednocześnie spoglądając nieco smutno. „O, nie mam do nich za to pretensji — rzekł — Ja sam byłem żołnierzem i w tej samej kampanii; i znam pokusy. Wiem co czuje człowiek upadający ze zmęczenia i przemarznięty do szpiku kości, gdy zapytuje siebie, co go obchodzą cudze fotele i firanki, gdy on może z nich mieć opał na noc. Po jednej i po drugiej stronie frontu wszyscy byliśmy żołnierzami; to ciężkie i straszne życie. Nie mam do nich żalu za to wszystko co tu zrobili. Jedna jest tylka rzecz, której naprawdę żałuję. Pokażę ją państwu".

I poprowadził nas w długą aleję wysadzoną topolami; na końcu tej alei był posąg Błogosławionej Dziewicy z odstrzeloną głową i dłońmi. Ale ręce były wzniesione; i dziwna rzecz, że samo okaleczenie zdawało się dodawać znaczenia postawie orędownictwa; błagając o litość dla bezlitosnego rodzaju ludzkiego.

Tych parę luźnych uwag, które przecież wedle słów autora oddają momenty niezapomniane podróży jego po Polsce, są dla nas cenniejsze, niż wszystkie na zamówienie pisane grube tomy propagandowe z luksusowymi ilustracjami. Bije z nich prawdziwa przyjaźń i serdeczność — najdroższe zaś to, że oparte na trafnym spojrzeniu. W czasie swej krótkiej wizyty Chesterton zdołał zauważyć i odczuć wszystko co u nas mógł znaleść najcenniejszego: wiarę, bohaterstwo i cierpienie naszego Narodu. Nie szukał tak zwanych „możliwości rozwojowych kraju", którymi zwykle pragniemy zachęcać bogatych kupców zaranicznych do inwestowania u nas swych pieniędzy. Szukał trwałych wartości cywilizacyjnych, wsłuchiwał się w głos przeszłości i w zaułkach Krakowa i Wilna wypatrywał kronik pisanych najczarowniejszym hieroglifem historii. Znalazł u nas także przyjaźń i gościnność — ocenił nas jako dobrych towarzyszy. Za to wszystko należy mu się w Polsce trwałe i serdeczne wspomnienie, jak prawdziwemu przyjacielowi. Może najcenniejsze, gdy chodzi o syna obcego narodu.

FR. ORZECHOWSKI.

CZY MICKIEWICZ ZNAŁ „PIEŚŃ O ŻUBRZE“?

W XX TOMIE „Dzieł” Jana Kasprowicza (Pisma prozą t. II, str. 83—108) przedrukował prof. Stefan Kołaczkowski rozprawę poety-profesora, noszącą tytuł „Mikołaja Hussowskiego Pieśń o żubrze i Pan Tadeusz”. Rozprawa ta była inauguracyjnym wykładem Kasprowicza na uniwersytecie, a w tekście nieco rozszerzonym ukazała się w „Słowie Polskiem” w roku 1913, skąd przedrukowało ją jeszcze jedno z pism polskich.

Wycinki tego przedruku wypożyczył mi w r. 1925 poeta, gdym przygotowywał jakąś obiecaną ś. p. prof. Kallenbachowi rozprawkę o Hussowskim. Ciekaw jestem dzisiejszego losu tych wycinków (czy są w bibliotece poety w Poznaniu?) gdyż pamiętam, że na marginesach i w tekście było tam wiele poprawek i uzupełnień, świadczących, iż Kasprowicz przygotowywał rozprawę do ewentualnego druku w oddzielnym tomie studiów naukowych, mającym ponadto pomieścić „Trzy motywy”: „Motyw przyrody w poezji angielskiej” (druk w „Myśli Narodowej” nr. 2—8 z r. 1926), „Motyw Cencich w literaturze światowej” i „Motywy prometejskie w literaturze światowej”; dwa ostatnie studia po dziś dzień nie doczekały się druku (podobnie jak inne jeszcze prelekcje naukowe Kasprowicza) — sądzę, że należałoby spełnić serdeczną wolę ich autora i wydać rychło te prace drukiem, zwłaszcza że jak wnoszę z pobieżnego coprawda przeglądania ich przed kilkoma laty, mają one niepoślednią wartość naukową.

*

Ale nie projekt owej edycji, ani nie pragnienie uwzględnienia poprawek autorskich w tekście prelekcji o Hussowskim, jest przyczyną, dla której chcę tu się zająć tą rozprawą. Chodzi mi o rzecz inną: o tezę zasadniczą, wypowiedzianą przez poetę-prelegenta i zaznaczoną już w samym tytule prelekcji. Tezą tą jest uderzające i zastanawiające istotnie podobieństwo pewnych szczegółów opisowych, narracyjnych i emocjonalnych w „Pieśni o żubrze” [1]) Hussowczyka i Mickiewiczowskim „Panu Tadeuszu”.

„Miałem wrażenie (pisze Kasprowicz)... że analogii szukać należy u Mickiewicza i to w pokrewnych ustępach „Pana Tadeusza”, zajmujących się życiem borów litewskich”.

Na poparcie tego sądu Kasprowicz cytuje cały szereg ustępów analogicznych z obu poematów. Nie będę cytat tych powtarzał, bo zajęłoby to dużo miejsca, a wobec dostępności tekstu byłoby zgoła zbyteczne. Przytoczę tylko ostateczne wnioski autora rozprawy.

„Duch poematu Hussowskiego jest także duchem czwartej księgi „Pana Tadeusza”; pokrewieństwo obrazów w jednym i drugim utworze niemal oślepia, a przecież nie ma wątpliwości, że Mickiewicz „Pieśni o żubrze“ znać nie mógł. Poza darowanym w r. 1853 Bibliotece petersburskiej egzemplarzem księdza Małyszewicza, istniał za czasów Mickiewiczowskich jeden tylko egzemplarz krakowskiego druku, egzemplarz Michała Juszyńskiego, w r. 1798 przekazany Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Przypuszczenie, że jeden lub drugi egzemplarz mógł się znajdować w rękach Mickiewicza, byłoby może zbyt dowolne...

Otóż w niektórych przytoczonych tu informacjach Kasprowicza znalazły się pewne nieścisłości. Najważniejszą jest to, że poemat *„De bisonte”* zachował się nie w „dwóch” tylko egzemplarzach, jak to mylnie za edycją Pelczara powtórzył Kasprowicz; egzemplarzy tych jest kilka, a za czasów Mickiewicza mogło być jeszcze więcej. Omyłkę Pelczara sprostował już w r. 1895 Michał Jezienicki (Eos, str. 97, nn); zwrócił on uwagę m. in. na egzemplarz z r. 1523, zachowany w Bibliotece Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie (8^0 28 kart, sygn. 6.048). O innym egzemplarzu *Carmen de bisonte* czytamy w „Janocianach” (*Varsaviae et Lipsiae* 1776), na str. 126: *Quae* (*scil. elegia*, bo tak ze względu na formę wierszową nazwano tu poemat Hussowskiego) *ab Hieronymo Vietore anno Domini MDXXIII forma 8 est excusa*: *e publica autem Bibliotheca Zalusciana a litterato quodam raptore, poetaque ipso praecellenti, modo astutissimo ablata*...

Za Janockim cytowali szczegóły o Hussowskim Bentkowski (1814), ks. Juszyński (1820) i Michał Wiszniewski (Lit., t. 6, str. 229 nn); dwaj ostatni nietylko zajmowali się dociekaniem na temat biografii poety (myli się Kasprowicz, mniemając, że przed Pelczarem nikt u nas o Hussowskim nie pisał), ale co więcej, cytują urywki poematu w przekładzie polskim, są więc poniekąd poprzednikami samego Kasprowicza [2]).

To wszystko jest jasnym dowodem i przestrogą dla uczonych, że nie można ferować zbyt pochopnych przypuszczeń co do istnienia lub nie istnienia egzemplarzy jakiegoś dzieła, o którem wiemy z tych czy innych źródeł lub tradycyj. Zdarzają się czasem odkrycia i niespodzianki: znajdzie się jakiś tekst, czy odpis, czy egzemplarz, o którym dotąd nie wiedziano czy zapomniano. Gdy chodzi o druk Vietorowski, zawierający „Pieśń o żubrze”, to na początku w. XIX—za cza-

[1]) Posługuję się tym tytułem — a raczej skrótem tytyłu — nietylko dla tego, że używa go stale sam tłumacz Kasprowicz, ale i dla tego, że tytuł ten dokładnie i ściśle odpowiada łacińskiemu oryginałowi: „*De bisonte carmen*“ (pełny tytuł: „*De statura, feritate ac venatione bisontis*“). Wcale mi nie trafiły do przekonania wywody jednego z uczonych polonistów, który dostawszy do rąk fragment Kasprowiczowskiego przekładu, ogłoszony przeze mnie w „Łowcu”, usiłował dowodzić, jakoby pieśń Hussowczyka była nie o żubrze, lecz o... turze (!) Wspomnę, że tura Hussowczyk wzmiankuje pod nazwą *urus*. Podobnie czyni Kromer, który o żubrze pisze: *bisons vel zuber*.

[2]) Nawiasowo nadmienię, że na nich nie wyczerpuje się lista tłumaczy Hussowczyka. Po Kasprowiczu przełożył— niezależnie od niego cały poemat o żubrze dr. Michał Dadlez; przekład ma wielką wartość artystyczną i zasługiwał by kiedy na ogłoszenie choćby częściowe. Fragmenty innych utworów Hussoviana przełożył autor niniejszego artykułu, który ponadto uzupełnił własnem piórem kilka opuszczonych lub całkowicie zamazanych wierszy w odczytanym przez siebie rękopisie Kasprowiczowskiego przekładu.

sów Juszyńskiego i Mickiewicza—nietylko mogło, ale i musiało być tych egzemplarzy więcej, niż ich znamy obecnie.

O jednym conajmniej z nich możemy twierdzić niemal napewno, że istniał i to nie gdzieindziej, ale w samem Wilnie, dokładnie w tym czasie, kiedy Mickiewicz był studentem tamtejszego uniwersytetu.

Dowodów na to możemy wskazać kilka.

W r. 1830 (a właściwie jeszcze w 1829, bo wobec okoliczności druku napewno zachodzi tu wypadek antydatowania) ukazała się w Wilnie książka, której pełny tytuł brzmi: „*Naturhistorische Skizze von Lithauen, Volhynien und Podolien, in geognostisch-mineralogischer, botanischer und zoologischer Hinsicht entworfen von Eduard Eichwald, der Medicin Dr. Prof., der kaiserl. Academie der Wissensch. zu St. Petersb., der kaiserl. Leop. Carol. Acad. der Naturforsch, U. A. Gel. Gesellsch. Corresp. od wirkl. Mitgl.-Mit drei Litographirten Tafeln. Wilna. Auf Kosten des Verfassers, in Commision bei Leopold Voss in Leipzig, gedruckt bei Joseph Zawadzki* 1830.

Otóż na frontispisie tego okazale wydanego dzieła (egzemplarz posiada Biblioteka Publiczna w Warszawie) widnieje wielka rycina przedstawiająca żubra, sygnowana I. Moszczyński *in lap* [*ide*] *del* [*ineavit*], przy niej zaś znajduje się napis:

Haec fera lithuanis longe saevissima sylvis nascitur...

Znamy dobrze słowa tego napisu. Wzięte one zostały nie skądinąd, ale z „*Carmen de bisonte*" Hussowczyka (vv. 51—52, wyd. Pelczara str. 10). Rytownik powtórzył go dosłownie, zmieniając tylko przymiotnik *Litphanis* na bardziej utartą formę *lithuanis*. Już sama ta cytata świadczy, że dzieło Hussowskiego musiało być znane w Wilnie przed r. 1830 czy 1829, że musiał je mieć dawniej przed oczyma artysta rysujący postać żubra i drukarz Zawadzki, starannie, jak zawsze, obmyślający szatę graficzną wydawanej przez siebie książki, a wreszcie i uczeni autorowie książki. Piszę o uczonych autorach w liczbie mnogiej, gdyż z łaskawej informacji udzielonej mi listowną drogą przez prof. Władysława Szafera, wiem, że „cały materiał umieszczony w tej książce zebrali inni badacze, a zwłaszcza Antoni Andrzejewski, zaś Eichwald, mając duże stosunki, dość bezprawnie i bezceremonialnie zrobił się jedynym autorem tego dzieła".

Ale mamy jeszcze inny dowód, że egzemplarz poematu Hussowskiego „*De bisonte*" znajdował się w latach 20-tych ubiegłego wieku w Wilnie. Oto w tekście „*Naturhistorische Skizze*", począwszy od str. 241, snuje się opowiadanie o postaci, obyczajach i dzikości żubra, tak swą treścią, jak i wyrażeniami przypominające poemat szesnastowiecznego humanisty polskiego. Nie będę się bawił w długie zestawiania; dla przykładu tylko przytoczę te słowa opisu (str. 244—245).

Man sieht selten die Auer an der offenen Strasse, weil sie sich vor jedem Geräusch verbergen und in den Wald zurückziehen. Sie sind eher furchtsam, als dreist zu nennen., nur gereizt fallen sie Menschen an... Anfangs schütteln sie blos ihre Mähne, drohen mit den Hörnern und dringen endziel selbst auf den Menschen ein. Ist der Auer zornig, so streckt er seine bläuliche Zunge drohend vor, zieht sie wieder hinein, wedelt eben so drohend mit der Schweife, während seine Augen stark gerötet vordringen und funkelnd hin und her rollen...

Na te same szczegóły i obiawy — nawet w słowach podobnych — zwracał uwagę czytelnika Hussowski:

Barba[3]) *riget late pendentibus horrida villis,*
lumina terrorum plena furore rubent,
terribilesque jubae[3]) *collo funduntur in armos*
et genua et frontem et pectoris ima tegunt...
Saevitia superans animalia cuncta vel aequans,
humano generi nil nisi laesa (s c i l: *fera) nocet;*
maxima inest tantum priopriae custodia vitae
majoremque animo fingere nemo potest...
Et minimos retro strepitus cautissima signat,
auribus attribuens terga tuenda suis...
Non tamen in quemquam temere, licet obvia, saevit...

Można by jeszcze wielokrotnie mnożyć dowody, że poemat Hussowskiego o żubrze litewskim był dobrze znany profesorom uniwersytetu wileńskiego, tym, którzy pod firmą Eichwalda współpracowali w ułożeniu owej wielkiej niemieckiej księgi przyrodniczej, wydanej w Wilnie. Ale czy znajdziemy jakie dowody, a choćby poszlaki, że poemat ten znany był Mickiewiczowi?

Pewne dowody ukazał już prof. W. Szafer w artykule „Rosochate pomniki", zamieszczonym w „Kurierze Poznańskim" z dn. 13.II 1935 (nr. 71). Pozwolę sobie przytoczyć *in extenso* odnośne jego słowa:

„Adam Mickiewicz nazwał po raz pierwszy sędziwe drzewa pomnikami, podnosząc je tem określeniem do rzędu pamiątek przeszłości, godnych szacunku i ochrony narówni z ręką ludzką tworzonymi pomnikami naszej historycznej sławy. Trudno powiedzieć bez przeprowadzenia szczegółowszych studiów, czy nazwanie przez Mickiewicza starych drzew pomnikami było jego własnym pomysłem. W każdym razie warto zaznaczyć, że nieco wcześniej przed naszym wieszczem nazwa ta użyta była w takim sensie przez sławnego podróżnika i przyrodnika, Aleksandra Humboldta. W sprawozdaniu z podróży do Wenezueli, ogłoszonem w języku francuskim w r. 1819, opisał on olbrzymie drzewa... najstarsze i najpotężniejsze w tym kraju ...i nazwał je pomnikiem przyrody (*monument de la nature*). Nie ulega wątpliwości, że w kołach uniwersyteckich Wilna, do których należał Mickiewicz, dzieła Humboldta były czytane, on sam zaś cieszył się tu wielką popularnością".

[3]) Ta broda i grzywa świadczą najwyraźniej, że wbrew mniemaniom uczonego polonisty Hussowski w swym poemacie mówi nie o jakimś turze, lecz o żubrze. Także i brunatna maść szerści wspominana jest tu niejednokrotnie. Tur nie miał grzywy ani brody, a maść miał płową. W wieku XVI, jak zgodnie świadczą ówcześni pisarze, był już niemal wytępiony w Polsce.

(Dok. n.) JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Niewczesny kult apolityczności. — Monografia historyczna o St. Krzemińskim. — Humanista, dla którego „miarą rzeczy" był żyd. — Warszawa końca XIX w. — Patriotyzm odruchowy i czynny. — Na czem polega nowość nowych czasów. — Czego nie dostrzegł historyk.

WYSZŁA teraz z druku nakładem Wileńskiego Tow. Przyjaciół Nauk monografia, obejmująca całokształt żywota Stanisława Krzemińskiego. Autorem tej książki jest profesor Uniwersytetu Wileńskiego Konrad Górski.

Krzemiński jako pisarz nie nastręcza zbytniej okazji do zajmowania się jego osobą. Ciekawa jest całość jego życia, bardzo charakterystyczna dla drugiej połowy wieku XIX-go. Daty urodzin i śmierci Krzemińskiego: 1839 — 1912. Żeby go dobrze zobaczyć i pojąć, trzeba ożywić w swojej pamięci historycznej, co to było między temi latami. A wszystko dzieje się w Warszawie.

Typowy produkt inteligencki ówczesnej Warszawy. Po ukończeniu w 17-m roku życia szkoły realnej, chłopiec z domu szlacheckiego, nie zmuszony do zarobkowania, czuł obowiązek pielęgnowania w sobie poezji. Polegała ta praktyka na trenowaniu władz umysłowych w ten sposób, aby całkowicie niezdolne były do widzenia rzeczywistości. Rzeczywistość polityczna była istotnie fatalna, ale było na co patrzeć, jeśli chodziło o poznawanie stanu całej Polski, a w szczególności tego, co się działo wewnątrz społeczeństwa.

Gdy po upadku rewolucji 1830 r. usunięte już zostały z Królestwa szczątki państwowości polskiej, Rosja przystąpiła planowo do zmiany struktury społeczno-gospodarczej Polski z wyraźną tendencją osłabienia wpływu szlachty, a wydobycia do steru sfer gospodarczo - przemysłowych. Działo się to w ścisłem porozumieniu rządu z żydami. B. Królestwo Polskie stawało się terenem uzupełniającym rynek gospodarczy Rosji. Zachowanie kodeksu Napoleona dawało rękojmię bezpieczeństwa kapitałom niemieckim i żydowskim. Bajecznie szybko zaczął się rozwijać przemysł wielki.

Wkrótce też Warszawa, mocno zaniepokojona, odczuła na sobie dotkliwie ciążenie żydów. Wzmogła się przerażająco ich ilość, a polityka żydowska nabrała jakichś nieodczuwanych dotąd cech celowości. Kierował nią Leopold Kronenberg, którego M. Berg w swoich „Zapiskach" nazywa wodzem żydostwa.

Czytelnicy raczą sobie przypomnieć kapitalne studjum Didiera o roli żydów w dziejach Polski, drukowane w „Myśli Narodowej" w r. 1935. Tam na str. 118—120 znajdą niesłychanie ciekawy obraz wrzenia przeciw żydom, które ogarnęło Warszawę. Były to właśnie lata 1857 — 1859, kiedy Krzemiński, jako młodzieniec, obierał drogę życia.

Żydzi przelękli się wybuchu antysemityzmu, spowodowanego przez „Gazetę Warszawską". W walce, jaka się wywiązała, wzięła udział prasa żydowska całego świata. Żydzi uplanowali nader misterną grę, polegającą: 1) na uśpieniu antysemityzmu hasłami asymilacji na tle patriotycznem i 2) na podżeganiu namiętności politycznych przeciwko Rosji. Wyzyskiwano w tym względzie cierpienia dusz patriotycznie uwrażliwionych. Znalazły się w planie demonstracje, do których pochop dawały tajne wśród młodzieży związki. Do kierowania temi związkami użyto neofitów i mechesów, od których roiły się koła towarzyskie Warszawy. W ten sposób walka z Rosją stawała się psychicznie czemś nierozłącznem ze ślubami przyjaźni dla żydów. Kółkiem Krzemińskiego opiekował się Karol Majewski, sekretarz Kronenberga, ten, który potem tak wybitną odegrał rolę w wybuchu powstania. Krzemiński do końca życia pozostal wierny ślubom asymilacji.

Ani się spostrzegł, kiedy go z akademickiego kółka, demonstrującego na nabożeństwie za trójcę poetów romantycznych (1859), tajemna dróżka przywiodła do powstańczego Rządu Narodowego. Właśnie takich ludzi jak on trzeba było, aby dokonywał się tragizm w sposób bezwiedny dla uczestników, nie zdających sobie sprawy z tego, że kierowników wszelkiego „rządu" obowiązuje m y ś l p o l i t y c z n a i odpowiedzialność.

W tem miejscu narzuca mi się charakterystyczna zbieżność kariery powstańczej Krzemińskiego z karierą Michała Sokolnickiego, którego pamiętnik („Czternaście lat") niedawno czytałem. W roku 1905—6 socjaliści wznawiali po latach 50 tradycję powstania, obiecując Polsce przywrócenie niepodległości przez wystrzelanie stójkowych w Warszawie. Podobieństwo też charakterów osobistych: obaj łączyli egzaltację z przytomnością zmysłu samozachowawczego.

Krzemiński był w Rządzie kierownikiem akcji prasowej. Wyrobił się tutaj jako literat. Z bohaterskim Traugutem już nie pracował. Monografia notuje jedyne niebezpieczeństwo, na jakie się naraził, mianowicie, że po upadku powstania, kiedy wieszano, poszedł na plac stracenia i podczas aktu uchylił kapelusza.

Nie miał potrzeby nawet uchodzić z Warszawy. Sąd wojskowy nie dał wiary, żeby to on mógł być członkiem Rządu, — poszukiwał listami gończemi innego Krzemińskiego. Ten zaś oddał się dziennikarstwu. Został członkiem konserwatywnego „Bluszczu" przy boku Marii Ilnickiej.

Potoczyło się odtąd życie dziennikarskie, wznoszące się nieraz na poziom literacki, dokładnie omówione w monografii prof. Górskiego. Było wolne od polityki, bądź co bądź jednak wywierało znaczny wpływ na urabianie opinii politycznej. Żeby skończyć z linią polityczną tego żywota, dodam, że na starość, właśnie w okresie tego nowego, już socjalistycznego powstania, które robił Sokolnicki, Krzemiński był redaktorem „Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej" (dotąd nieukończonej). Z monografii Górskiego dowiadujemy się, że gdy przyszło do litery K, Krzemiński napisał „entuzjastyczny" artykuł o rabinie Izaaku Kramsztyku, jako patriocie polskim, a niedługo potem pod literą L, w artykule o St. Libickim zniesławił Romana Dmowskiego, odmawiając mu miana patrioty (z powodu jego udziału w Dumie).

Taka była pochyłość, po której stąpał Krzemiński, zawsze w nimbie chwały bohaterskiej; taka była atmosfera Warszawy końca XIX wieku w sferach liberalnych, dla których jedynym — rzec można — kryterium patriotycznej postawy Polaka było manifestacyjne z żydami przymierze.

Atmosfera ta była tak przemożna w czasach Krzemińskiego, że nie sposób osądzać w tym względzie indywidualnie ludzi tej epoki. Co do Krzemińskiego można mu przyznać sporo niepospolitych cnót, przedewszystkim żarliwość patriotyczną. W czasach tak podatnych na szerzenie się indeferentyzmu, uczuciowość jego patriotyczna mo-

gła być zaraźliwa dla środowiska, zagrożonego utratą wiary i dumy narodowej. Był to czas tej minimalnej taktyki, jaką jest bierny ksenofobiczny opór w obronie kultury duchowej narodu.

Zawsze dzieliłem ze współczesnymi szacunek dla Krzemińskiego za budzenie ducha tego oporu, umiałem oceniać pożytek symboliczności jego postaci. Ale dzisiaj — wobec monografii historycznej — poczuwam się do obowiązku historyka.

Pamiętajmy, że jesteśmy już wyzwoleni politycznie, że przystoi naszej samodzielności, abyśmy swój stan rozumieli, nie tylko trwali w uczuciach, abyśmy do tej nowej skali „uznania siebie w swojem jestestwie" (jak mówił Mochnacki) dostosowali treść uczuciową, stanowiącą o naszej postawie dziejowej. Musimy myśleć i czuć jako naród, mający swoje państwo, postępujący nie pod wpływem reakcji uczuciowej lecz z rozmysłu swej woli. Więc i akty świadomości naszej historycznej muszą odpowiadać postulatowi krytycyzmu historycznego.

Musimy się bowiem wydobyć nareszcie ze stanu legendy, to znaczy z okresu, kiedy się żyło bez jasnej świadomości politycznej myślącego, państwowego narodu. Jeszcze teraz w niepodległej Polsce przebywaliśmy — obyż końcowy! — następczy atak legendarności, pochodzący właściwie z potrzeby „wyżycia się" niezaspokojonych nastawień powstańczych 1905 roku. Niewiele brak, aby nam komuniści powiedzieli, że mnszą za popędem uczuć uszczęśliwić Polskę przewrotem. Będziemyż czekać na okres „wyżywania się" w kulcie bohaterów tego przewrotu?

Nie.

Co różniło Dmowskiego i jego obóz z resztą społeczeństwa warszawskiego? Program polityczny? Nietylko to. Różnił — obyczaj umysłowy.

Dla tromtadratów Dmowski myślał zbyt trzeźwo, dla ugodowców — nie trzeźwo, nawet utopijnie, dla socjalistów — nacjonalistycznie. I na to właściwie wszyscy się godzili: grzechem Dmowskiego był nacjonalizm. Przeszkadzało to interesom stanowym jednych, widokom walki klasowej innych, pozie patriotycznej wreszcie. Mianownikiem wszystkich tych sprzeciwów była aprobata polityki żydowskiej.

Przedewszystkiem jednak Dmowski (i jego obóz) obraził wszystkich nowością stanowiska. Zarysował przed oczyma współczesnych kontury przyszłego państwa polskiego, do którego gotować należy jako podstawę organizację całego narodu. Nie dziś zaczyna się rewizja świadomości dziejowej Polaków. Zaczęła się ona 50 lat temu. To podniosło na nogi przeciwko obozowi nacjonalistycznemu wszystkich, komu wygodnie było w legowiskach marazmu, zdrady lub cierpiętnictwa. Wroga miał, kto przerabiać chciał ten stan psychiczny na postawę myślenia politycznego o przyszłości całego narodu. Wroga miał przedewszystkiem w państwach zaborczych, wroga — w żydach, jedynym politycznie zorganizowanym odłamie ludności na ziemiach polskich.

Działo się odtąd to, co mogło być najbardziej niebezpiecznego dla systemu politycznego państw zaborczych: powstawała z rozbicia osobowość polityczna Polski. Gdyby nie ta nowość, czy zrozumiały byłby w zaborze austriackim tak dokładny blok wszystkich stronnictw przeciwko stronnictwu Dmowskiego? Burzyło ono politykom wygodne urządzenie się w przegródkach klasowych — myśl budowy wszechstanowej, do tego wszechpolskiej przejmowała trwogą nowości.

Jak dalece odczuwanie patriotyczne w schorowanem ciele narodu było naskórkowe, a wszelkie działanie — odruchowe, świadczy schemat ówczesnych orientacyj politycznych. Ci, co mieszkali na wschodzie, pałali nienawiścią do zaborcy rosyjskiego, a skłonni byli do germanofilizmu; ci — na zachodzie, kierowali się nienawiścią do Niemca, a skłonni byli do rusofilizmu. Łatwo sobie wyobrazić, jak podatny był to grunt dla obcych interesów politycznych, pragnących grać na polskiej uczuciowości.

I to skończyć się musiało z chwilą, gdy dzięki odrodzonemu ruchowi ogólno-polskiemu, powstawać zaczął system ogólnej polityki polskiej, dla której uczuciowość narodowa będzie tylko siłą, ale nie źródłem wskazań politycznych. Wyobraźmy sobie, co byłoby z Polską, gdyby polska myśl polityczna nie była na tę porę dojrzała.

Ale za duży to temat, wracajmy do monografii.

Nie trzeba uwag moich o stosunku Krzemińskiego do powstania rozumieć tak, jakobym chciał poddawać rewizji historię Polski tych czasów. Wiem, ile winienem czci dla uczuć patriotycznych tych, którzy z pełnią wiary składali życie w ofierze. Wiem, że sąd historyczny musi być beznamiętny i poddany obiektywnie prawom danego czasu. Ale Krzemiński, zwłaszcza końcowy, ten piszący w wieku XX, podlega sądom publicystycznym ludzi współczesnych.

Zresztą nie wszystko można nazywać rewizją sytuacyj historycznych. Istnieje też krytyka postępowania osób. Od pisarza wymaga się więcej, niż od pionka, zwłaszcza pretendującego do kierowania polityką. Można nie pytać, dla czego Krzemiński nie stawał w poglądach obok Andrzeja Zamojskiego, albo — jeśli o pisarzy chodzi — obok A. Gillera lub Kraszewskiego. Ale jeśli mowa o r. 1909 trzeba mu zrobić wyrzut, że nie rozumiał nic pomimo tak wielkiego postępu, jaki w myśleniu politycznem uczyniło całe społeczeństwo.

Autor monografii mojem zdaniem obowiązany był zaznaczyć, z jakiego miejsca na zjawisko patrzy, że patrzy z wyżyny osiągniętej niepodległości. To samo jużby naświetliło krytycznie sądy, jakie wydawał Krzemiński o Dmowskim lub Balickim, nazywając ich odstępcami, lub o Bolesławie Prusie, którego nazywa błaznem. Pomienione osobistości to przecież najwybitniejsi myśliciele nowoczesnej umysłowości polskiej. Prof. Górski przytacza opinię Krzemińskiego bez żadnych zastrzeżeń, owszem afirmacyjnie, jako przyczynki do charakterystyki myśliciela.

Prof. Górski zastrzega się, że nie jest historykiem politycznym, że tylko relacjonuje rolę Krzemińskiego. Ale jest historykiem literatury. W literaturze politycznej, stanowiącej kręgosłup ruchu umysłowego każdej epoki, tembardziej w literaturze najnowszych czasów, historyk literatury powinien się orientować choćby dla tego, żeby usprawiedliwić swoje w tym ruchu tak odpowiedzialne stanowisko.

Monografia o St. Krzemińskim nosi na sobie piętno roboty, dokonanej na zamówienie w czasach najfatalniejszego kursu politycznego, bo nie biorącego dziejów na serio. I historia w takich czasach nie ubiega się o ton spiżowy prawdy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NOWY OBÓZ, KULTURA I ŻYDZI

Deklaracja programowa pułkownika Adama Koca zawiera następujące słowa formułujące stosunek nowego obozu politycznego do zagadnień związanych z nauką i sztuką:

„Kultura polska w nauce, sztuce i obyczaju winna być wykładnikiem geniuszu narodowego.

Nauka polska, czerpiąc z ogólnoludzkiego skarbca i dodając do niego swe zdobycze, powinna znaleźć swój bezpośredni, przyrodzony cel w poszukiwaniu i dostarczanniu dla narodu i państwa nowych elementów bogactwa i siły. Musi ją łączyć pod tym względem ścisłe współdziałanie z kierownictwem państwa.

Literatura i sztuka mogą wypełnić swe wysokie posłannictwo tylko w oparciu o właściwości i potrzeby ducha polskiego. Wyrastając z rodzimego położenia i kierując się jego potrzebami, zachowają one swą odrębność kulturalną, cechującą wszystkie nieśmiertelne dzieła w tej dziedzinie".

W sprawie zaś żydowskiej słowa następujące.

„W stosunku do ludności żydowskiej — stanowisko nasze jest następujące: zbyt wysoko cenimy poziom i treść naszego życia kulturalnego, jak również porządek, ład i spokój, bez którego żadne państwo obejść się nie może — abyśmy mogli aprobować akty samowoli i brutalnych odruchów antyżydowskich, uchybiających godności i powadze wielkiego narodu. Zrozumiały natomiast jest instykt samoobrony kulturalnej i naturalną jest dążność społeczeństwa polskiego do samodzielności gospodarczej".

Sformułowanie powyższe nie odpowiada maksymalistycznie pojętemu programowi narodowemu, nie można wszakże niezauważyć, że jest ono krokiem naprzód w sposobie myślenia tych ludzi, którzy dzisiaj podejmują próbę stworzenia nowego obozu współpracy z rządem. Dużym nawet krokiem naprzód, bo gdyby istniała szczera intencja wypełnienia sławnych ram ideowych treścią w postaci czynów i realizacji, to nawet wprowadzając w życie ów minimalistycznie zakreślony program, możnaby już wiele uczynić.

A WIĘC DO DZIEŁA!

Przeprowadzone winny być najsamprzód zmiany w dziennikach polskich, które bez reszty oddały się do dyspozycji pułkownika. A więc „Gazeta Polska" zrezygnuje z współpracy swego korespondenta londyńskiego Floriana Sokołowa syna Nachuma Sokołowa przewodniczącego światowej organizacji sjonistycznej, a centralny organ „OZO N'u", „Kurier Poranny" usunie felietonistę Bruno Winawera, krytyka plastycznego Mieczysława Sterlinga, oraz innych pomniejszych. Po dokonaniu tych najpilniejszych zmian, obóz winien zająć się gruntownie sprawą odżydzenia stanu dziennikarskiego w imię chociażby głoszonej „samoobrony". Zmienione być muszą i to jaknajszybciej przedstawicielstwa korporacyjne — zarządy syndykatów. Pozatem czeka na zapowiedzianą w deklaracji akcję pułkownika, radio. Wyliczać pracujących semitów w tej instytucji nie będziemy; wypełnilibyśmy samym tylko tym spisem miejsce przeznaczone na rubrykę „Głosów". Powtórzylibyśmy zresztą znane powszechnie dane. W każdym razie zacząć należałoby od rady programowej.

Sprawa Akademii wydaje się nam w tej chwili beznadziejna, natomiast sprawa Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej winna być wzięta pod uwagę i zreferowana w myśl żądań deklaracli.

Bez większych wysiłków możnaby dokonać odżydzenia związków plastycznych. W plastyce, żydzi nie posiadający zmysłu kolorystycznego, odgrywają wprawdzie rolę niewielką, niemniej jednak w każdym niemal stowarzyszeniu posiadają swoich przedstawicieli. Tak jest np. w „Bloku Polskich Artystów Plastyków", którego przedstawiciel p. Bylina złożył podpis na akcie generalnego akcesu. Również Instytut Propagandy Sztuki pozostający pod opieką sfer rządowych ma możność wypowiedzenia miejsca znanemu żydowskiemu pismu literackiemu.

Akcja na terenie muzyki, gdyby ograniczyła się tylko do samej interwencji, mogłaby wiele uczynić. Należałoby również wypowiedzieć miejsce żydowskiemu przedsiębiorcy z gmachu Państwowego Konserwatorium. Opera Warszawska, która jedna z pierwszych zgłosiła akces, musiałaby się wyrzec zaangażowanego kierownika baletu, żyda „Saszy" Leontiewa, oraz przyrzec, że nie będzie udzielała więcej gościny rozmaitym żydowskim baletom Joossa.

W dziedzinie literatury jest szczególnie wiele do zrobienia. Wykorzystanie potężnych wpływów, jakimi niewątpliwie rozporządza pułkownik Koc celem izolowania pisarzy polskich od żydowskich, co jest zupełnie możliwe, dałoby niewątpliwie błogosławione skutki. Rozumie się, że nie powoływanie sądziów pochodzenia żydowskiego w skład sądów rozpatrujących kandydatury zgłoszone do wszelkich nagród artystycznych, a przez to pozbawienie obcego wpływu na opinię i linię twórczości należy do żądań najpierwszych.

Do nich należy i ochrona młodzieży od infiltracji żydowskiego typu cywilizacyjnego, tak obcego rycerskiemu duchowi naszej cywilizacji. A więc wyrugowanie z książek autorów i autorek żydowskich, oraz wyraźne wskazywanie na nieproszony udział tychże w naszym życiu literackim.

Należy, mało — trzeba uniknąć wskazywania w podręcznikach na Słonimskiego jako na czołowego przedstawiciela krytyki. Przykładów zresztą możnaby cytować wiele.

Ażeby przeprowadzić wyrażone przez nas postulaty nie trzeba koniecznie stać na stanowisku zmiany konstytucji. Idą one po linii wyrażonej w lutowej deklaracji. Są wyrazem „instyktu samoobrony kulturalnej" i opierają się na słusznem twierdzeniu, że „Literatura i Sztuka mogą wypełnić swe wysokie posłannictwo tylko w oparciu o właściwości i potrzeby ducha polskiego".

Obóz pułkownika Koca rozporządza niebylejakiemi sankcjami. Dowodem chociażby sejsmograficzna wrażliwość cenzury. Możliwości przed nim, mimo wiadomego stosunku społeczeństwa, stoją niemałe. My pilnie patrzymy, czy ten minimalistycznie zakrojony program w kwestii żydowskiej zostanie spełniony. Jeśli tak, gotowi jesteśmy, jak powiedzieliśmy już na początku, uznać to za duży krok naprzód. Dzisiaj — czekamy. B.

NAUKA i LITERATURA

„RUCH PRAWNICZY"

W KWARTALNIKU p. t. „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny" (zesz. I z r. 1937) oprócz zwykłych rubryk (jak przegląd piśmiennictwa, prawodawstwa-orzecznictwa i kroniki gospodarczej) znajdujemy kilka artykułów, mogących zainteresować nietylko prawników ale i szerszy ogół.

Sędzia Sądu Najwyższego dr. Emil Stanisław Rappaport zaznacza w art. p. t. „Opuszczenie rodziny”, że w ustawodawstwie nowoczesnem obecnego typu francusko-belgijskiego, do którego zaliczyć należy i ustawodawstwo polskie, gdy opuszczający swą rodzinę mąż lub syn, uczyni zadość warunkowi odpowiedniego zabezpieczenia rodziny pod względem materialnym, ustaje wszelka możność zastosowania sankcji czy to cywilnej czy karnej do burzyciela ogniska rodzinnego pod względem moralnym, a sankcja karna na zasadzie art. 201 k. k. może mieć zastosowanie tylko wtedy, jeżeli uchylanie się od obowiązku ustawowego łożenia na utrzymanie innej osoby płynęło ze złej woli uchylającego się i doprowadziłodaną osobę do nędzy lub do konieczności korzystania ze wsparcia.

Kodeksy włoski i rumuński stosują sankcję karną nietylko do pokrzywdzenia rodziny przez jej opuszczenie pod względem materialnym, ale i do pokrzywdzenia moralnego t. j. zniszczenia ogniska domowego ze wszystkimi moralnymi skutkami takiego rozbicia.

Prof. dr. Tadeusz Brzeski w art. p. t. „Teoria wobec praktyki w ekonomii“ zastanawia się nad pytaniem, czy teoretyk ma prawo i obowiązek wypowiadania się w sprawach praktycznych.

Liberalizm szkoły klasycznej wierzy w jednostkę, jako ostoję życia duchowego i jako źródło wszelkich impulsów prowadzących do postępu kultury zarówno duchowej jak i materialnej. Socjalizm wierzy w twórczą siłę masy przeciętnych jednostek, związanych poczuciem solidarności dążeń.

Można dążyć do wyrównania różnic w podziale majątku i dochodu społecznego dla ulżenia doli najbiedniejszych i dla usunięcia poczucia krzywdy nierówności, można też sądzić, że nierówność położenia materialnego jest objawem naturalnym i nieuniknionym, a zarazem bodźcem dla bardziej przedsiębiorczych jednostek do posuwania się w górę. Można w sprawach socjalnych kierować się poczuciem humanitaryzmu i być zdania, że ten moment winien przeważać nad względami rachunku gospodarczego, przeciwny punkt widzenia będzie kłaść nacisk na to, że lepiej będą wszyscy obdzieleni, gdy ogólna suma wytwórczości wzrośnie.

Można stać na stanowisku równości i wspólności interesów ludzkości, jako całości, można także wyznawać wyższość i wyłączność interesów ważniejszych, aniżeli ludzkość.

Przykłady te wskazują, jak ciężką i brzemienną w następstwa może być decyzja, aby pójść tą lub inną drogą.

Nie ma pewnego i bezpośredniego przejścia od poznania teoretycznego, nawet najdoskonalszego, do poznania praktycznego. Kto chce w życiu działać z powodzeniem, musi mieć jakiś trudny do określenia talent, napewno wrodzony a co najwyżej tylko rozwinięty przez doświadczenie, który pozwala się na domyślanie się tego co jest i na przeczuwanie tego, co będzie i jest rzeczą mało prawdopodobną, aby teoretyk był równie dobrze, jak i praktyk, wyposażony w intuicję rozumiejącą i przeczuwającą przyszłość, tem też można wytłumaczyć wstrzemięźliwość wielkich przedstawicieli ekonomii w zajmowaniu pozycyj wobec aktualnych zagadnień.

Prof. dr. Bronisław Malinowski w art. p. t. „Kultura jako wyznacznik zachowania się” dowodzi, że istnieje nauka o zachowaniu się ludzkiem, która jest nauką o kulturze. W rzeczywistości kultura nie jest niczem innem jak zorganizowanem zachowaniem ludzkiem. Człowiek różni się od zwierząt tem, że jest zależnym od otoczenia ukształtowanego sztucznie a mianowicie: od narzędzi, oręża, mieszkania i zbudowanych przez siebie środków transportu. Aby mógł wyprodukować rzeczy i udogodnienia i nimi się posługiwać, potrzebuje wiedzy i techniki. Jest uzależniony od pomocy bliźnich. I znaczy to, że musi żyć w zorganizowanych, dobrze urządzonych społecznościach. Im wyższy rozwój kulturalny tem bezwzględniejszą i brutalniejszą staje się tyrania urządzeń technicznych. Pozwoliliśmy, aby maszyna opanowała człowieka.

Obecnie nasza cywilizacja przechodzi niewątpliwie, bardzo poważny, być może krytyczny okres zaburzenia równowagi.

Instytucje rodzinne są zagrożone ze wszystkich stron, nadużycia władzy prawnej i administracyjnej są na porządku dziennym. Komunizm grozi nam niewolnictwem, a objawy te muszą doprowadzić do katastrofy kulturalnej. Nauki i cnoty, wydajności wytrwałości nie można dyktować dekretami ani rozpłomieniać sztuką oratorską, ani tem bardziej wymuszać systemem szpiegostwa policyjnego i brutalnością policyjną.

Nauczyliśmy się rozumieć mechanim, a stąd szanować go i nim się posługiwać, lecz nie dbaliśmy o rozwój rzeczywiście naukowego ducha w naukach humanistycznych, temi słowami kończy dr. Malinowski swój ciekawy artykuł.

GUSTAW ZABŁOCKI

„RUCH LITERACKI”

UKAZAŁ się zeszyt I-y „Ruchu Literackiego” za rok bieżący. Artykuł p. K. Mędrzyńskiego z Grudziądza omawia teorie erotyczne Towiańskiego. Mało zbadana, a niezwykle ciekawa sprawa nietylko z uwagi na związek Mickiewicza z Towiańskim (a między niemi Xawera Deybel) czy też praktyczne życie towiańczyków, pokryte mgłą tajemnicy.

W mistyce Towiańskiego kobieta i miłość mają swoje określone miejsce: miłość może się materializowć, a cielesny popęd sublimować. Towiański twierdzi, że trzeba się wyzwolić od ognia, co spala ciało, i najlepiej w sposób naturalny i legalny; za św, Pawłem powiada „że lepiej się ożenić niż spalać”. Ale Towiański dopuszcza także miłość płatną, oczywiście, jako zło konieczne, i ten związek uważa za dużo lepszy niż inne rodzaje miłostek; jest wrogiem flirtu, a wogóle uważa, iż nie należy robić tragedii ze spraw seksualnych.

Jego teorie erotyczne mają charakter nietyle indywidualny co społeczny. Przy sposobności zauważę, że autor tego ciekawego artykułu popełnił zasadniczy błąd terminologiczny, biorąc „metapsychozę” za klucz do zapatrywań Towiańskiego, i mówiąc dalej o wędrówce dusz i ich przeistaczaniu się. Niema „metapsychozy” jest tylko metapsychika, termin zainicjowany bodaj przez prof. W. Lutosławskiego, a wprowadzony do nauki przez prof. francuskiego Ch. Richeta.

W nauce niemieckiej używa się terminu parapsychologia. A kluczem do zapatrywań Tow. będzie zapewne metempsychoza (termin pochodzący z greckiego i wyrażający wędrówkę dusz. J. Gw. Pawlikowski, autor „Mistyki Słowackiego“, miałby dużo do powiedzenia o związku mistyki z erotyzmem u Towiańskiego.

Dwaj młodzi poloniści dali analityczne rozprawki: pan J. Dębowski o „Języku, topografii i znaczeniu „Chłopów”; p. W. Jania kreśli „Uwagi w regionaliźmie w języku Orkana”; prof. Hahn zaś wyjaśnia genezę „Koroniarza w Galicji“ Jana Lama!

I w tym zeszycie „Ruchu“ mamy dalszy ciąg polemiki o „Bogurodzicę“. Głos zabierają p. J. Birkenmajer i prof. Brückner.

Piotr Grzegorczyk, redaktor pisma, w syntetycznym, bardzo ciekawym, artykule podał „Życie literackie w r. 1936“. Stwierdził wzrost pozaksiążkowych konsumentów literatury: słuchaczów radia, widzów wszelakich widowisk, czytelników prasy. Jest to w związku z postępującą etatyzacją życia duchowego.

Do zeszytu załączany jest arkusz bibliograficzny literatury polskiej za rok bieżący.

Rzecz to bezcenna dla każdego pracownika na polu literackiem.

„Ruch Literacki" ukazał się z chwalebną punktualnością, jest bowiem pismem, na które się czeka z niecierpliwością. wt.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Tadeusz Breza. „Adam Grywald". Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Książka pisana dla wybranych smakoszów, jako eksperyment literacki, ciekawy, jak każda próba nowego dla treści kształtu. Nowość polega nie na fabule, dość zdawkowej, ale na metodzie pisarskiej. Obfitość scen, nastrojów, dialogów, wogóle ruchu, osłonięta jest mgłą niedomówień, które w wyrażaniu stanów uczuciowych i migawkowe ich skróty, ukazują się rozdrobnione, rozcieńczone, niby w przykrawaniu włosa na włosy jeszcze cieńsze, z czego wreszcie w ręku nic nie zostaje.

Czytelnik stara się wychwytać istotę rzeczy, odcyfrować tę szaradę myślenia, często bez rezultatu.

Również wydaje się niezrozumiałe, dlaczego na tle, zupełnie podmalowanych, prócz nazwami miejscowości Warszawa, Zakopane, Gdynia, Skolimów, Kazimierz nad Wisłą, autor nadał swym postaciom, raczej nikłym cieniom postaci, nazwiska beznarodowe. Podobne środki, celem nadania postaciom charakteru niejako wszechludzkiego istnienia, bywały w czasach Młodej Polski. Osoby nazywały się: Ktoś, Ten, Ta, Nikt. Działo się: zawsze, wszędzie i nigdzie.

W powieści „Adam Grywald" autor nie posługuje się temi sztuczkami. Rzecz ma wszelkie znamiona utworu serio. Wygląda pozornie, żeby trudniej było zgadnąć, na obraz psychologiczny, obyczajowy, z życia miejskiego, nie mniej jednak nie nawiązuje łączności, nieodzownej sympatji między sobą a czytelnikiem. Talentowi już *a priori* skrępowanemu, stłumionemu, intellektem brak możności wypowiedzenia się bezpośredniego, brak suggestii.

Mimo, że artystyczne ambicje p. Brezy nie wnoszą w tym utworze pełnych wartości, z czasem talent, o ile można wnioskować, rozwinie się, „rozwinie skrzydła". (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

MAJA BEREZOWSKA

NIERAZ malarze w towarzystwie są nagabywani przez młode panienki, a czasem niestety i przez starszych pryków też, prośbą, o narysowanie czegoś na pamiątkę. „Niech pan coś narysuje, przecież to dla pana kwestia paru minut"—w ten sposób zwykle rozpoczyna się atak na nieszczęsnego artystę. Niektórzy ulegają i stosownie do życzeń rysują na odczepne psa, konia, diabła lub Gretę Garbo. Z łatwości spełniania podobnych życzeń wielu wnioskuje o talencie malarza.

Jeden rysuje łatwo i prędko, drugi trudno i powoli. Ilustratorzy i karykaturzyści mogliby budzić zazdrość innych artystów, którym wyobrażenie odtwarzanego tematu nie tak łatwo się daje. Tak jest napozór. Bo ci, którzy bez trudności rysują łatwe, codzienne obrazki do pism, zwykle ponad ten rodzaj wznieść się nie potrafią. Zapewne i w tem można być mistrzem i tu można pokazać swój lwi pazur, ale ci, co go naprawdę mają, ujawniają zazwyczaj inne ambicje. Nie posiadając tej łatwości plastycznego gawędziarstwa, opracowując swe dzieła długo i z uporem, obdarzają je wartościami bardziej trwałemi.

Inny powiada: ja ilustracje robię tylko dla zarobku. Zdarza się, że imię artysty ostoi się wobec czasu, dzięki właśnie takim „zarobkowym" ilustracjom, jak to ma miejsce np. z Daumier. Ale Daumier pozostawił też po sobie szereg znakomitych płócien i nie byłoby wcale dla sztuki ubytkiem, gdyby tych ilustracyj—karykatur zrobił mniej, a obrazów—więcej. Miarą dla dobrej ilustracji jest jej wartość sama dla siebie, to, iż nie przestaje być interesującą bez komentarza literackiego i może bez niego się obyć. Znamy też cechę ujemną talentów ilustracyjnych: gdy się wezmą potem, np. do grafiki, długo jeszcze w ich pracach tkwi posmak pewnej dorywczości, czegoś przelotnego, miłego, ale tylko na dziś; jak w modnej melodii, która prędko się spodoba, ale jeszcze prędzej się znudzi. W innym sensie możnaby uważać ilustratorstwo za pewien rodzaj szkoły dla plastyków, tak jak dziennikarkę — za szkołę dla pisarzy. Że takie przeszkolenie dobrze robi, świadczą Prus i Sienkiewicz. Rzecz w tem, żeby w szkole długo nie siedzieć.

Należy mieć na uwadze wszystko co powiedziałem powyżej, podczas oglądania prac p. Maji Berezowskiej, na wystawie u Garlińskiego. Berezowska jest właśnie ilustratorką, a nie mieści się jednocześnie w ramach takiego określenia. W ilustracjach zostawia okruchy swego talentu i swej wiedzy artystycznej; talent ten jednocześnie pragnie świadczyć o sobie pracami, przeznaczonemi na dłuższe istnienie. Z natury swego zawodu obserwatorka, w kilkoletniej dziennikarce plastycznej—że się tak wyrażę—miała sposobność poznania człowieka i dziś potrafi dać jego interesujący portret, wyrażony rysunkiem żywym, podatnym, giętkim i lekkim, barwą o tonacji przyjemnej, wyraźnej, a zarazem coraz bardziej wyszukanej i delikatnej.

Z racji swych rysunków do Dekamerona, oraz innych podobnych wyczynów, Berezowska chętnie jest uważana za artystkę „tylko dla dorosłych". Wydaje mi się, iż nie temat, sam, stanowi tu o istocie rzeczy: atmosfera drażniącej zmysłowości nasyca jak duszny opar nawet niewinne w temacie obrazki. Artystka nie dąży wcale do ukazania drastycznych szczegółów nagości: oto czytający, nagi młodzieniec ma przesłonięte biodra gazetą, inny klęczy, obrócony do widza plecami. Oto akt kobiecy, widziany z tyłu, oto wreszcie postacie ludzi ubranych, głowy młodzieńców. Ale głowy młodzieńców i kobiet, spojrzenia spod ciężkich, opuszczonych powiek, wydatne usta o wyrazistym rysunku — wszystko to każe nam myśleć tylko o jednem... Jakaż to miłość? Tkliwa, swawolna, jurna, rozpustna? Jest to miłość przedewszystkiew perwersyjna. Coś z niespokojnych majaczeń naszych czasów. Bohaterem tego świata staje się młody efeb, zniewieściały Adonis, naśladujący kobietę. Czasem ten Adonis przeobraża się w zwykłego gigolo.

Wizja artystki jest bardzo zdecydowana i wyrazista i wszystko, co przekroczy progi jej królestwa, zostaje zabarwione w swoisty sposób. Tem się tłumaczy, iż nawet w rycinach, nawiązujących strojami do jakichś epok, np.: Renesansu, Biedermeyer'u, przedewszystkiem widzimy styl Berezowskiej, a znacznie później styl epoki. Tak też artystka pragnie widzieć rzeczywistość, nawet dawną oczyma dziś żyjącego plastyka. Jest to stanowisko zupełnie różne, od wielu koncepcyj utalentowanego grafika E. Manteuffla, który ma niesamowite wprost wyczucie stylu i lubi igraszki rozmaitych *à la maniere de...*

Dłuższy pobyt w Paryżu przyczynił się do wzmożenia zainteresowań kolorystycznych, rysunek kolorowany coraz bardziej opanowuje barwa. Rysunek linearny coraz częściej zastępuje plama kolorowa. Plamki barw, o zwięzłym sensie kolorystycznym, rozrastają się, zapełniają cały kształt, probują tłomaczyć jego bryłę, nietylko ją ożywiać, nie omijają nawet światłocienia. Sztuka artystki, zachowując dawną umiejętność rysunkową, staje się coraz więcej malarska.

WIKTOR PODOWSKI

DYSKUSJE

LITERATURA W SZABLONIE

Udowadniał mi kiedyś pewien młody literat „z tamtej strony", że reportaż jest konsekwencją, a nawet więcej—zdobyczą literacką marksizmu. Udowadniał dość długo i... bardzo słabo. Słabo, gdyż nie miał racji, a co za tem idzie, argumentów. Reportaż został zrodzony w tempie pracy dziennikarskiej. Słowo „tempo" i słowo „dziennik", oto najistotniejszy rodowód. Ów młody literat miał zapewne na myśli reportaż społeczny, oparty na konflikcie klasowym. Nieporozumienie, jak często w dyskusji. Myśląc o treści mówił o formie, chociaż... chociaż czy szablon treści nie jest raczej kwestią formy? Zastanówmy się tylko przez chwilę nad istotą pojęcia szablonu.

Reportaż. Bardzo lubię, jako człowiek współczesny ten rodzaj twórczości. Byleby istotnie odtwarzał życie, no i był napisany z talentem. Talent, sam talent nawet zdolny jest mnie niemal całkowicie rozbroić. Dla tego, tak cenię dorobek Ksawerego Pruszyńskiego, usprawiedliwiam wiele w jego listach hiszpańskich (ostra cenzura rewolucji walczącej m. in. o wolność słowa, sugestia środowiska, wiadomo — „jak kto włazi między wrony, kracze jak i o n y". Byleby tylko nie dosięgnąć pokrewnego, gawroniego gatunku. A jest wiele zadziwiającego, nie godnego podziwu, ale zadziwiającego w tem godzeniu idei mocarstwowej autora z wyznaniem na temat pacyfizmu, oraz zasad pokrewnych).

Reportażów odtwarzających prawdziwe oblicze dnia dzisiejszego brak. Dotkliwy brak. Jest szablon owego reportażu społecznego z owemi—co tu dużo gadać! — istniejącemi konfliktami społecznemi, ale do tego wyłącznie rodzaju konfliktów sprowadza się wszystkie istniejące zagadnienia „których legion". Takie sprowadzanie jest niczem innem, jak tylko redakcją fałszującą obraz, świadczącą o niewielkiej indywidualności i jeszcze mniejszej odwadze cywilnej piszącego. A wszystko razem do... (patrz zdrowy, rubaszny słownik fraszek Potockiego czy „*Gargantui*" Rabelais'go).

Rozgrywa się obecnie w Polsce akt potężnego dramatu, którego przez długi czas nikt jakoś nie mógł dojrzeć, bo wszyscy pochłonięci byli całą masą nowin pierwszorzędnych („Helena Marusarzówna i Br. Czech mistrzowie w kombinacji alpejskiej", „Listonosze przystąpili — ZZZ nie", „Wybory do Bratnich Pomocy", „Ostatnie przedstawienie „Żołnierza królowej Madagaskaru" i t. p.). Dramatem tym jest strajk chałupników.

Strajk chałupników! Jakaż nędza okropna, jakież warunki musiały istnieć, żeby zdecydowali się na porzucenie pracy nieubezpieczeni, nie oparci o żadne potężne związki zawodowe, tracąc zarobek niewiele większy wprawdzie od jednej złotówki, ale zarobek jedyny, zezwalający na najlichszą wegetację!

Niedawno „Kurier Poranny" zamieścił reportaż z wędrówki po chałupniczych warsztatach warszawskich. Oto wyjątek:

— Ech, miałem inne mieszkanie — kiedyś. Przechorowałem je... No tak: przechorowałem — ja przecież nie ubezpieczony, nas chałupników k u p i e c nie ubezpiecza! To tylko my—jako żeśmy majstrowie—musimy ubezpieczać naszych czeladników! Więc, kiedym zachorował, to przyszło sprzedać mieszkanie.

Nad warsztatem, na ścianie, w ramach za szkłem — porządnie, jak się należy: dyplom mistrzowski, cechowy.

— Niech pani patrzy, jak żyją w tym naszym fachu— mistrzowie. Kwalifikowani rzemieślnicy!

— A jak mają żyć, kiedy z nich cały sznur tych p o ś r e d n i k ó w żyje!"

Podkreśliłem w tych cytatach wyrazy: „kupiec", „pośrednik", „hurtownik". Problem socjalny. Jasne. Tylko— i wyłącznie. I wyłącznie w opisie „Kuriera Porannego". Bo oto na ten sam temat pisze „Warszawski Dziennik Narodowy" w skromnej, nie silącej się na literacki patos korespondencji.

„W Częstochowie od 18 lutego trwa strajk szewców-chałupników. Wszysgy strajkujący pracują w żydowskich firmach, rozsiadłych na głównych ulicach miasta u Langnera, mającego trzy sklepy, Mydlarza, Glika i wielu innych

Zarobek żyda w porównaniu z chałupnikiem jest nieproporcjonalnie wysoki.

Np. za parę butów męskich płaci się chałupnikowi najwyżej 2 zł. 50 gr., materiał kosztuje 6 zł., w handlu ta para butów kosztuje 13—14 zł. Żyd zatem zarabia 2 razy tyle co chałupnik, nie wkładając żadnej pracy, nie ponosząc żadnego ryzyka.

Z tego widać, jak beznadziejne jest położenie chałupników i jak bardzo wyzyskiwani przez żydów i t. p.

„Kupiec"—prawdziwe. „Pośrednik"—prawdziwe. „Hurtownik"—prawdziwe. Konflikt socjalny—prawdziwe. Wszystko prawdziwe, ale do tego: „kupiec—żyd", „Pośrednik—żyd", „Hurtownik—żyd". Tego reporterka „Kuriera Porannego" nie widziała, bo jej brak i odwagi i talentu, ażeby wyjść poza szablon reportażu socjalnego. Nie ma siły napisać prawdy, bo prawda istniejącej w Polsce zawiści narodowościowej nie posiada jeszcze swojej literackiej maniery.

Sprawa, przyznaję, trudna. Łatwo i jeszcze jak łatwo wpaść w ton wulgarny, trywialny. Dzisiaj tylko wyjątkom udaje się dotknąć tego tematu bez narażenia się na zarzut wulgarności. W karykaturze do takich należą Grus i Zaruba, a w satyrze z tamtej strony Hemar (patrz świetny acz i przykry „Koń trojański"). Poza tem — strach pomyśleć. Jeśli ze strony polskiej, to na poziomie dawnego „Rozwoju", czy literatury ludowej, jeśli z żydowskiej, to na poziomie tonu publicystyki „Naszego Przeglądu".

Omija się tedy drażliwy temat. Nie tylko drażliwy, że drażni, ale że nie wszedł w modę, że zalatuje gustem gorszym aniżeli gust iluś tam wyższych tysięcy (w każdym razie przysłowiowa liczba dziesięciu tysięcy wydaje mi się stanowczo za duża..)

Jest, jak dotychczas, jedna, prawie że jedyna książka napisana z prawdziwym talentem, gdzie nie obawiano się dotknąć prawdy. Książka ta to „Gospodarka Narodowa" Adama Doboszyńskiego. Można dyskutować nad niejedną tezą wysuwaną przez autora, można się z nią nie zgadzać, a jednak trudno oprzeć się wrażeniu i nie stwierdzić, że się czas spędziło w towarzystwie człowieka o istotnej kulturze i młodych oczach, widzących wiele, Doboszyński znajduje się obecnie w więzieniu. Za Myślenice. Za te Myślenice, gdzie żyje proletariat chałupniczy tuczący „pośrednika", „kupca", „hurtownika". Dziwnie się skojarzyły wypadki, miejscowość i założenia programowe. Jeśli było przypadkiem, że właśnie autor książki pisanej z myślą, troską najserdeczniejszą o biedocie największej — poszedł drogą ku Myślenicom, gdzie pracuje od rana do nocy i tak codziennie, wyzuty z własności wyrobnik, to było przypadkiem znamiennym, urastającym do znaczenia symbolu. Dzisiaj owo wydarzenie z przed kilku miesięcy staje wyraźnie przed oczami. Dzisiaj, gdy o poprawę bytu, o kilkanaście (dosłownie!) groszy podwyżki walczy zubożałe do ostatnich granic rzemiosło polskie.

Tylko zawiść klasowa. Tę widzimy. (I to nie wszyscy). Narodowościowej nie mamy odmagi. Doprawdy! Traktujemy przekonania jak kapelusz, krawat, czy ubranie. Tak musi być, bo zwyczaj, moda, konwenans.

I dla tego przepaść między t. zw. inteligentem a człowiekiem z milionowych mas. Ten inaczej myśli. Nie czuje ciężaru, obowiązku rygorów płynących z poddania się sezonowym nowinkom. (Przedwczoraj wąskie spodnie, *shimmy* i Moskwa, wczoraj szerokie spodnie *blues* i Paneuropa, dzisiaj...) Człowiek z masy bliżej jest zagadnień wiecznych. Może dla tego, że szczerze się modli co niedziela na sumie solennej w kościele, podczas gdy my pilnie wybieramy z rejestru msze conajkrótsze.

Tyle zagadnień, tyle zmian, przewrót cały. Skala twórczości urasta do miary ogromnej. Ale talentom wygodniej w szablonie. Bierze się taki wzorek, przykłada do ściany, poczem tandetną farbą klejową... Szkoda trudu, choćby i niewielkiego. Wzejdzie słońce — wypełznie tania farbka. Zaręczam.

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

ZNIESIENIE SĄDÓW PRZYSIĘGŁYCH

W CHWILI gdy piszemy te słowa los sądów przysięgłych nie jest jeszcze ostatecznie zadecydowany, ale jest już przesądzony, gdyż nie ulega wątpliwości, że Senat przyłączy się do uchwały Izby poselskiej, znoszącej te sądy, których wprowadzenie na cały obszar Rzeczypospolitej nakazywała, jak wiadomo, konstytucja z r. 1921.

Podczas debaty sejmowej, niezbyt zresztą wysokiego poziomu, jak wszystkie dyskusje w tym Sejmie, wysunięto przeciwko sądom przysięgłych najpierw to, że jako środek obrony obywatela przed wszechwładzą państwa miały rację bytu w czasach zaborów, dziś zaś we własnym państwie są niepotrzebne, dalej wysuwano ich brak kompetencji, chwiejność i wrażliwość na sugestje zewnętrzne i wreszcie ten wzgląd, że w naszym położeniu politycznym i przy różnorodnym składzie etnicznym ludności nie możemy powierzać osądzania najcięższych przestępstw kryminalnych i politycznych niepewnym fluktom takich sądów.

Pierwszy z tych argumentów nie wytrzymuje oczywiście krytyki. Sądy przysięgłych mają u siebie i cenią je państwa zachodnie, które nigdy obcych zaborów nie zaznały. Widzą w nich słusznie ten czynnik, który uzgadnia prawo pisane, nie mogące przecież przewidzieć i uwzględnić wszystkich komplikacji, jakie nastręcza życie — z poczuciem sprawiedliwości w społeczeństwie i przyczynia się w ten sposób w wysokim stopniu do harmonii życia publicznego. Wspomnijmy tu mimochodem, że sądy przysiegłych cenił wysoko człowiek tak głębokiego umysłu, jak G. K. Chesterton, który pisał, że instytucje parlamentarne mogą się zrehabilitować w opinji tylko wtedy, jeżeli się upodobnią do ław przysięgłych, pełniących swe obowiązki bez oglądania się na jakiekolwiek interesy.

Zarzut wrażliwości sądu przysięgłych na sugestie i wpływy zewnętrzne znajduje więcej zwolenników, zwłaszcza, że opinja n nas jest pod wrażeniem sensacyjnych rozpraw przed takimi sądami, podczas których rozpętano istotnie prawdziwe orgie agitacji. Ale czy temu winna ława przysięgłych, czy też prowadzący rozprawę, który nie umiał, czy też nie chciał poskromić wybryków sensacyjnej prasy i zbytniej agitacji publiczności? Mimo to jednak nie ma dowodu, że cały ten hałas wpłynął decydująco na werdykt ławy. Wyrok zapadł skazujący, a nie na najwyższą karę, bo przecież rozprawa wykazała aż nadto wiele wątpliwych punktów. I jeżeli ścisłe rozumowanie mogło się dopatrzyć w orzeczeniu ławy niekonsekwencji, to właśnie bardzo często takie pozorne niekonsekwencje są zaletą tego sposobu wymiaru sprawiedliwości. Życie nie mieści się w prostych formułkach logicznych wnioskowań i syllogizmów.

Mamy zresztą akurat w ostatnich wydarzeniach sądowych doskonały przykład na to, że sąd koronny, złożony wyłącznie z wykwalifikowanych prawników poddaje się tak samo sugestiom. Sąd apelacyjny skasował wyrok śmierci, wydany na Grzeszolskiego w pierwszej instancji, a w motywach podał, że wyrok ten zapadł tam nie tylko bez żadnego dowodu, ale nawet bez poważnych poszlak, tylko na podstawie sugestii. Czegóż żądać więcej?

Co zaś do niekompetencji, to podniesiono ze strony fachowej, że właśnie małe obycie się przysięgłych zmusza do bardziej szczegółowego, drobiazgowego rozpatrywania sprawy, przyczynia się więc niewątpliwie do jej lepszego wyjaśnienia. A jakaż wielka korzyść dla wymiaru sprawiedliwości wypływa z tego faktu, że sąd wydają ludzie świeży, przystępujący do sprawy z zainteresowaniem i w nieosłabionym poczuciu poważnego obowiązku, nie zaś znudzony rutynista, skłonny, jak wskazuje doświadczenie, do potępiania w czambuł wszystkiego i wszystkich. A ława laików ma przecież do pomocy i kierunku cały wykwallfikowany aparat śledztwa, oskarżenia, obrony.

Żyjemy istotnie w czasach burzliwych, kiedy ostrożność jest niewątpliwie w wielu razach wskazana. Ale mimo to niepodobna się zgodzić z tym, żeby cały wymiar sprawiedliwości kształtował się tylko z punktu widzenia sprężystego zwalczania agitacji przewrotowej, tak jak całego życia narodu nie można wtłaczać w ramy, najlepiej odpowiadające wymogom prowadzenia wojny, bo to jest równoznaczne ze ścieśnianiem tego życia. Jeżeli są warunki takie, że czy to w niektórych częściach kraju, czy to w zakresie pewnych spraw, lub w stosunku do pewnej części ludności byłoby uznane wprowadzenie takich sądów za niewskazane, to lepiej chyba porobić wyjątki, niż pozbawiać cały ogół instytucji, która dobrze swój egzamin zdała i stanowi niewątpliwy postęp, w wzmacnianiu spójni społecznej.

Obecne uchwały są cofnięciem się na drodze rozbudowy instytucji wymiaru sprawiedliwości

ARGUS

NA MARGINESIE

W „Przemianach", organie młodzieży demokratycznej (nr. 9) artykuł wstępny zawiera taką deklarację:

„Nie widzimy sensu w podtrzymywaniu dotychczasowego ustroju kapitalistycznego. W rzeczywistości dzisiejszej propagujemy dążenie ku społeczeństwu bezklasowemu, dążenie mogące doprowadzić najszybciej do wyzwolenia proletariatu... My—nie obawiamy się eksperymentowania. Uznajemy zasadę kształcenia się na popełnionych błędach... Program walki o Polskę Świata Pracy jest programem maksymalistycznym..."

Tak samo było w Rosji w 1917 r. Tak samo „nie widziano tam sensu", tak samo „nie obawiano się eksperymentowania", tak samo „wyzwalano projetariat" tak samo nazywano swój program — „maksymalistycznym" (bolszewizm po ros. maksymalizm).

*

Jest nad czem pomyśleć. Głęboką troską napełnia warszawską krytykę literacką kompleks p. Krzywickiej. Oto „Tyg. Ilustr". debatuje:

„Ideałem p. Krzywickiej byłaby dziewica, któraby nie była dziewicą... Niewątpliwą zdaje się być rzeczą, że autorka „Pierwszej krwi" nie uporała się w głębi duszy z problemem dziewictwa, nie rozwiązała go bez reszty i ta reszta stała się punktem bardzo drażliwym, reagującym przy lada sposobności"...

Napozór rzecz taka prosta: „uporać się z problemem dziewictwa". Pokazuje się jednak, że jest jakaś „reszta" i to drażliwa. Co to być może? Problem nielada!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205 80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM